

☼ **PRAWO NA BIEGUNACH** Zawsze zaczynało się od szyb. Gdy już się je wybiło kamieniami, trzeba było wyważyć metalową bramę albo przewrócić przeszło ogrodzenia, potem wyrwać drzwi wejściowe i już się było w środku, w całym tym bogactwie ☼ **FOTOREPORTAŻ** Targ obłożony, w każdym zaułku muzyka, obozowiska na ulicach, hałas, rżenie. Tak raz do roku wygląda Saintes-Maries-de-la-Mer ☼ **KULTURA** Agenci emigracyjni potrafili swoją wizję opakować i sprzedać. Rozdawali drobne prezenty, zegarki z wizerunkiem Matki Boskiej. Zupełnie jak dziś, gdy dostajemy reklamowe długopisy ☼ **SPOŁECZEŃSTWO** Gotycki zamek Krasna Horka przetrwał setki lat i dwie wojny światowe, aż Romowie zaproszyli ogień ☼ **HISTORIA** W getcie toczyło się codzienne życie, które tak jak przed wojną, stawiało przed kobietą wyzwanie, aby być modną, atrakcyjną i zadbaną. Stawiało podobnie, a może nawet bardziej

DIALOG pheniben

nr 5 STYCZEŃ-LUTY-MARZEC 2012

- ☼ **NOC PORCELANOWA** ☼ Jolanta Koral
Str. 10-25 ☼ **Co wolno muzułmance** ☼ Piotr Turek
Str. 30-33 ☼ **NO SMOKING** ☼ Grzegorz Brzozowicz
Str. 74-79 ☼ **Diabeł u zarania, czyli traktat metafizyczny** ☼ Miłosz A. Gerlich Str. 80-85 ☼
DWÓCH OSOBNIKÓW NARODOWOŚCI CYGAŃSKIEJ ☼ Agnieszka Kościańska Str. 34-39 ☼
Rozdmuchiwanie. ☼ Maja Wesołowska Str. 94-97
☼ **SAINTES-MARIES-DE-LA-MER** ☼ Piotr Wójcik
Str. 46-63 ☼ **Damian Le Bas** ☼ Timea Junghaus Str. 66-73

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska

Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek

Korekta Grażyna Kwiek

Koncepcja i produkcja Redakcja tekstów, projekt graficzny,

fotoedycja: FUNDACJA OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS

Lidia Ostałowska, Dominique Roynette, Piotr Wójcik

Przygotowanie fotografii do druku Mariusz Glejzer

Drukarnia Colonel, Kraków

Finanse Renata Mucha

Wydawca STOWARZYSZENIE ROMÓW W POLSCE

Ul. Berka Joselewicza 5

32-600 Oświęcim

tel./faks: 033 842 69 89

stowarzyszenie@romowie.net

www.stowarzyszenie.romowie.net

Kontakt

www.dialog-pheniben.pl

redakcja@dialog-pheniben.pl



Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji



Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego



Zadanie jest współfinansowane ze środków Województwa Opolskiego



Zadanie jest współfinansowane ze środków Województwa Śląskiego



DIALOG pheniben

Kwartalnik Stowarzyszenia Romów w Polsce

Nr Indexu ISSN: 1425-3496, nr rejestru prasowego: 157/MS - rej. pr. 44/94, nakład: 1000 egzemplarzy

Romska Poczta Małgorzaty Kołaczek	6-7
List. Wszyscy jesteście greckimi Żydami	8-9

PRAWO NA BIEGUNACH

Noc Porcelanowa. Jolanta Koral	10-25
Tak się rozeszło po kościołach. Z prof. Anna Gizą-Poleszczuk rozmawia Jolanta Koral	26-29
Co wolno muzułmance. Piotr Turek	30-33
Dwóch osobników narodowości cygańskiej...	
Agnieszka Kościńska	34-39
Mundur wypiera uprzedzenia. Jerzy Celichowski	40-45

FOTOREPORTAŻ

2012 w Saintes-Maries-de-la-Mer. Piotr Wójcik	46-63
---	--------------

KULTURA

Damian Le Bas Timea Junghaus	64-73
No Smoking. Trupa podróżujących cyrkowców.	
Grzegorz Brzozowicz	74-79
Diabeł u zarania czyli traktat metafizyczny.	
Miłosz A. Gerlich	80-85
Globalizacja to nie nasz wynalazek.	
Z Martinem Pollackiem rozmawia Agnieszka Wójcińska	84-89

SPOŁECZEŃSTWO

Czarnuchy w Paryżu. Dominika Pszczółkowska	90-93
Rozdmuchiwanie. Maja Wesołowska	94-97
Romowie w pytaniach i odpowiedziach.	
Bartłomiej Kozek	98-99

HISTORIA

Georg i jego „kociaki”. Karolina Sulej	100-109
--	----------------



Kilka lat temu w Stanach Zjednoczonych głośno było o sprawie Albańczyka Sandri Krasniqi mieszkającego wówczas w Teksasie, którego oskarżono o molestowanie córki. Mężczyzna publicznie dotknął narządów płciowych dziewczynki, co w tradycji albańskiej nie ma nic wspólnego z molestowaniem seksualnym. Takie zachowania kultura Zachodu interpretuje inaczej. W krajach Europy, gdzie liczna jest społeczność muzułmańska, dochodzi do sporu o zdjęcie. Kobiety zakrywające twarz nie chcą jej pokazywać na fotografiach w prawie jazdy. W Polsce w 2005 roku burzę wywołał proces Marka K. oskarżonego o seks z nieletnią Romką. Zgodnie z romskim prawem byli oni małżeństwem i oczekiwali narodzin dziecka, ale według polskich kodeksów mężczyzna popełnił przestępstwo. Konflikty prawa i norm kulturowych mniejszości nadal budzą sporo kontrowersji. Czy zawsze i na jaką skalę demokratyczny kraj powinien chronić odrębność obyczajową mniejszości?

Nowy numer „Dialogu-Pheniben” poświęcamy prawu. 20 lat po procesach sprawców pogromu w Mławie Jolanta Koral w reportażu przypomina tamte wydarzenia. Zastanawia się, jak zmieniły miasto.

Profesor Anna Giza-Poleszczuk w rozmowie z tą samą dziennikarką odpowiada na pytanie, czy jako zbiorowość jesteśmy przygotowani na konflikty etniczne i czy im umiemy zapobiegać. Z kolei antropolożka Agnieszka Kościńska analizuje przebieg spraw o gwałty w sądzie okręgowym jednego z dużych polskich miast, gdzie ofiarami lub podejrzanymi byli członkowie mniejszości.

Zachęcam też do przyjrzenia się scenom z francuskiego miasteczka Saintes Maries de la Mer. Zarejestrował je Piotr Wójcik podczas tradycyjnej majowej pielgrzymki Romów ku czci ich patronki Sary. Pokazujemy również inne niezwykle zdjęcia. Wykonał je w warszawskim getcie niemiecki radiotelegrafista Willy Georg. Fascynującej analizy jego fotografii dokonała Karolina Sulej.

Zapraszam do „Dialogu-Pheniben”.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

STYCZEŃ

Słowacja: Dyrektorka bez entuzjazmu

Sąd Kraju Preszowskiego orzekł, że segregacja dzieci romskich w szkole podstawowej w Šarišskich Michalanach łamie prawo do równego traktowania. To precedens! Stefan Ivanco z Centrum ds. Praw Człowieka i Praw Obywatelskich, które oskarżyło szkołę, nie ukrywa zadowolenia. Dyrektorka podstawówki Maria Cvancigerova nie podziela jego entuzjazmu. Tłumaczy zawzięcie, że to dla dobra dzieci romskich, bo mają przecież „specjalne potrzeby”. Ale apelować nie zamierza.

LUTY

Wielka Brytania: Jednak nie matoly

Upośledzeni w Czechach i na Słowacji, przeciętni, a nawet zdolni w Wielkiej Brytanii. Tak można podsumować badania Equality, brytyjskiej organizacji państwowej działającej na rzecz Romów. Wyniki pokazały, że dzieci imigrantów romskich, które u naszych południowych sąsiadów chodziły do szkół specjalnych, na Wyspach radzą sobie dobrze w podstawówkach i gimnazjach. Tylko 2-4 procent małych Romów wymaga specjalnej edukacji. Ciekawe, co na to psychologowie z Europy Środkowej.

MARZEC

Włochy: Europa dała radę?

Najpierw niszczyli obozowiska i brali odciski palców nawet od romskich dzieci, teraz ogłaszają, że będą Romów integrować. Andrea Riccardi, minister ds.



Listopad 2009, żebrząca Romka na ulicy w Helsinkach

Fot. Kukka Ranta

współpracy we włoskim rządzie, ogłosił program wsparcia 140 tysięcy obywateli i imigrantów romskich. Znajdą się pieniądze na edukację, miejsca pracy, mieszkania i opiekę zdrowotną. Komisja Europejska niedawno krytykowała, teraz patrzy z aprobatą. Czyżby połajanka zadziałała? Może. Albo nie dało się Romów po cichu wypędzić, więc coś teraz trzeba z nimi zrobić.

Rumunia:

Czy to było ludobójstwo?

Dwie organizacje pozarządowe, Centrum Monitorowania i Zwalczania Antysemityzmu oraz Romani Criss, oskarżyły w prokuraturze Dana Sovę. Senator-socjaldemokrata twierdzi, że podczas wojny w Rumunii nie prześladowano Żydów. Zaprzecza też, że Rumuni brali udział w masakrze ludności żydowskiej w Jassach w 1941 roku, gdzie zginęło 130 tysięcy osób. Sova ma wątpliwości, czy to było ludobójstwo. Za prezydenta Iona Antonescu wymordowano niemal 380 tysięcy Żydów i 36 tysięcy Romów, większość w obozach

koncentracyjnych w Transnistrii. To teren, który w 1941 roku Wehrmacht przejął od Związku Radzieckiego. Dotąd w Rumunii nikt poza Sovą nie zdecydował się publicznie opowiadać takich bzdur. I nikomu nie groził za to wyrok.

Kanada:

Węgrzy nas zaleją!

Przewodniczący senatu Kanady Noël Kinsella spotkał się z przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego Węgier László Kövérem w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej, na szczycie premierów państw grupy G20. Węgry do niej nie należą i ich obywatele przyjeżdżają jako biedni krewni. Kanadyjczyk nie miał dobrych wieści dla Kövéra. Zakomunikował, że imigranci romscy z Węgier zalewają Kanadę, szukają azylu, pobierają zasiłki. Kilku kanadyjskich posłów miało dość. Wystąpili z wnioskiem o przywrócenie wiz dla Węgrów. Liczyli, że uzdrowi to stosunki węgiersko-romskie?

KWIECIEŃ

Macedonia:

Azylant to wróg

Macedonia ma zamiar karać Romów, którzy ubiegają się o azyl w Unii Europejskiej. To odpowiedź rządu na ostrzeżenie ze strony Komisji. Bruksela grozi, że fala migrantów romskich może zamknąć rządowi w Skopje drzwi do UE. Od grudnia 2009 roku obywatele Serbii i Macedonii nie potrzebują już wiz, żeby podróżować do krajów Unii. Dla wielu Romów jest to szansa na lepsze życie na Zachodzie. Część z nich domaga się azylu politycznego. Jak dotąd nieskutecznie. Macedońskie władze nie myślą o poprawie sytuacji romskich obywateli, tylko o zakazach. Ale czy kij bez marchewki podziela?

MAJ

Finlandia:

Z biednymi do domu

Romskim żebrakom w swoich miastach Finowie powiedzieli „nie”. Większość uważa, że należy ich odesłać do domu. Według sondażu telewizji MTV3 aż cztery piąte respondentów - 85 procent mężczyzn i 81 procent kobiet - jest za ich deportacją. Francja otrząsa się z choroby, ale wirus francuski dotarł na północ Europy.

CZERWIEC

Rumunia: Jak nie murem ich, to fabryką

Burmistrz Cătălin Cherecheș aż kipi inwencją. Dwa lata temu zbudował w swoim mieście mur na dwa metry, żeby oddzielić od siebie romskich i nie-romskich mieszkańców. Rumuni protestowali, Europa też. Burmistrz przeczekał, teraz działa

dyskretniej. Po cichu burzy obozowiska romskie, a ludzi stamtąd przenosi na teren byłych zakładów metalurgicznych Cuprom. Z dwóch tysięcy Romów, którzy się tam osiedlili, kilkudziesięciu zatruto się chemikaliami. Toksyczne odpady nie były zabezpieczone i wyciekały do środowiska. „Fabryka śmierci” tak od lat mówią o zakładach w Baia Mare.

Polska: „Cygan”

Martin Sulik postanowił uwieść publiczność, także polską, nowym

filmem. Zatytułował go „Cygan”. Niby skromnie, a jest tu wszystko: przemoc, pierwsza miłość, egzystencjalne dylematy, walka dobra ze złem, pytanie o kondycję współczesnego społeczeństwa słowackiego. Smutne realia życia Romów na Słowacji przeplecione odrobiną humoru i niewinności nastoletnich zauroczeń zachwycają, przynębiają i zmuszają do zastanowienia. Co powiedzieć, gdy życie przygniata? Nic. Lepiej iść do kina i pomilczeć.

Małgorzata Kołaczek

Lipiec 2011, dzieci z ogrodzonego murem osiedla w Baia Mare czyszczą klatkę schodową



Fot. Mugur Varzariu/POLARIS/East News

Czerwiec 2012, mieszkańcy jednego z wyburzonych osiedli w Baia Mare czekają na przesiedlenie na teren byłych zakładów Cuprum



Fot. Andrei Pungovschi/AFP/East News

Wszyscy jesteśmy greckimi Żydami!

Poniżej list intelektualistów europejskich ostrzegających przed odradzaniem się skrajnej prawicy neofaszystowskiej i wchodzeniu jej w wielu krajach Europy na główną scenę polityczną. List opublikowały główne gazety europejskie. Przytaczamy go za „Gazetą Wyborczą” z 29 maja 2012 roku.

Powyższy list ukazał się w

„Le Monde” (Francja),
„La Repubblica” (Włochy),
„Magyar Narancs” (Węgry),
„The Guardian” (Wlk. Brytania),
„Gazeta Wyborcza” (Polska),
„Haaretz” (Izrael), „
Kathimerini” (Grecja),
„Der Standard” (Austria),
„Publico” (Portugalia).

Pod listem można się

podpisywać na
weareallgreekjews.eulubnousseum
estousdesjuifsgrs.eu

Zdumienie: 6 maja neonazistowska partia Złoty Świt weszła do greckiego parlamentu. Emblemat zainspirowany swastyką, hitlerowskie pozdrowienie, „Mein Kampf” jako inspiracja, ideologia rasistowska i antysemicka, negacjonizm, przemoc w stosunku do imigrantów, obelgi wobec dziennikarzy, kult jednostki. Złoty Świt bezpośrednio wpisuje się w „dziedzictwo” niemieckiej partii narodowosocjalistycznej, która pogrążyła Europę i cały świat we krwi i chaosie.

Odrodzenie nazistowskiej ideologii nie dotyczy tylko Grecji. W tym roku na Łotwie, po raz pierwszy, prezydent państwa poparł doroczny marsz byłych Waffen SS, mimo że wywołało to ostre protesty. W Austrii FPÖ - skrajnie prawicowa partia, która żyje w nostalgii za III Rzeszą - jest faworytem przyszłych wyborów parlamentarnych. Na Węgrzech Gwardia Węgierska - spadkobierczyni bojówek Strzałokrzyżowców uczestniczących niegdyś w eksterminacji Żydów i Romów - jest dziś odpowiedzialna za prowokowanie ataków na Romów i mordowanie ich, i za terroryzowanie osób pochodzenia żydowskiego.

Odrodzenie to stało się możliwe dzięki systematycznym działaniom skrajnie prawicowych partii, które zrzeszają się wokół strategii wypracowanej na początku XXI wieku w Holandii przez Partię dla Wolności Geerta Wildersa. Polega ona na wprowadzaniu dyskursu o wyższych i niższych rasach pod przykrywką „walki przeciw islamizacji Europy”. Sprzyja temu czas kryzysu ekonomicznego i społecznego, poszukiwanie kozła ofiarnego. Nasila się strach przed upadkiem Starego Kontynentu.

Ta strategia okazuje się niebezpiecznie skuteczna. Umożliwiła ona skrajnie prawicowym, rzekomo „odnowionym”, partiom oferowanie wsparcia dla partii rządzących, a nawet wchodzenie w koalicje rządzące. Doprowadziła do „normalizacji” rasistowskiej i antysemickiej mowy nienawiści w Europie.

I wreszcie, skrajna, rzekomo „uszlachetniona”, prawica przygotowała przestrzeń dla jeszcze bardziej radykalnych partii, z którymi łączy ją ideologia rasistowska i antysemicka. Partie te, podobnie jak Złoty Świt, otwarcie głosząc ideologię nienawiści, osiągają sukcesy wyborcze.

W odpowiedzi na przerażającą sytuację, którą dziś urzeczywistnia wejście do greckiego parlamentu posłów opcji neonazistowskiej, twierdzimy solidarnie: „Wszyscy jesteśmy greckimi Żydami!”. Nie akceptujemy faktu, że w Grecji i gdzie indziej na naszym kontynencie Żydzi, imigranci, muzułmanie, Romowie czy czarnoskórzy mieliby się obawiać o swoje życie tylko dlatego, że są tym, kim są.

Apelujemy do wszystkich obywateli, partii politycznych, związków zawodowych, organizacji społeczeństwa obywatelskiego, intelektualistów i artystów o zwalczanie skrajnej prawicy przez promowanie i urzeczywistnianie „europejskiego snu”. To sen o kontynencie, który pamięta, że został zbudowany na ruinach nazizmu, i pamięta o Szoah. To sen o kontynencie wolnym od rasizmu i antysemityzmu. To sen o społeczeństwach opartych na współistnieniu ponad podziałami. **Aby ten sen mógł się spełnić, musimy położyć kres dwóm dogmatom. Przede wszystkim** dogmatowi polityki oszczędności, cięć budżetowych, który przyczynia się do sukcesu partii populistycznych i ogranicza nadzieję europejskiej młodzieży na spłatę zadłużenia - to jakby całe pokolenia musiały być poświęcone na ołtarzu niekończącego się rygoru.

Po drugie, dogmatowi „europejskiej twierdzy”, który sprzyja powstawaniu antyimigracyjnych postaw, zamykaniu granic

(choć Europa potrzebuje imigracji, jeśli chce zachować główny element powojennej tożsamości europejskiej: system pomocy społecznej).

Od tej chwili zasadniczym zadaniem dla instytucji europejskich musi być podtrzymanie dążeń do demokracji, postępu społecznego, promowanie równości wszystkich osób i ochrony tych, przeciw którym kieruje się w czasie kryzysu przemoc o podłożu rasistowskim i społecznym.

Koncepcja wspólnej Europy jest często krytykowana. Nie zamierzamy porzucić tej koncepcji i jesteśmy głęboko przekonani, że musimy razem działać na rzecz silniejszej Europy, nadając idei „europejskiego snu” moc i nowy wymiar. Zrobimy wszystko, aby wzmocnić Europę i tchnąć ducha w „europejski sen”. Jeśli nie uda nam się wcielić go w życie, skazemy resztę Europy na taki sam koszmar jak w Grecji.

List podpisali m.in.:

Benjamin Abtan, prezes Europejskiego Ruchu Antyrasistowskiego (EGAM), Daniel Barbu, profesor Uniwersytetu w Bukareszcie, Jovan Djivak, generał, obrońca oblężonego Sarajewa, Dario Fo, laureat Literackiej Nagrody Nobla, Swietłana Gannuszkina, działaczka rosyjskiego Memoriału, Anthony Giddens, brytyjski socjolog, Amos Gitai, reżyser, Béate i Serge Klarsfeld, szefowie stowarzyszenia potomków deportowanych Żydów francuskich, Bernard Kouchner, b. szef francuskiego MSZ, Bernard-Henri Lévy, filozof, pisarz, Adam Michnik, historyk, eseista, dziennikarz, b. członek "Solidarności", Amélie Nothomb, pisarka, Dominique Sopo, szefowa SOS Rasizm, Elie Wiesel, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, pisarz, A.B. Yehoshua, pisarz, eseista.

☸ Jak ludzie
widzieli Cygana
wesołego,
biednego
i brudnego,
to go tolerowali.
☸ Niech sobie
żyje. ☸ Ale jak
się okazało,
że zarabia,
bo ma łeb,
że postawił
piękny dom
i jeździ dobrym
samochodem
- o, to wara!
☸ Pilnuj
swojego miejsca.

Jolanta Koral

Czerwiec 1991, przed romskim domem
w Mławie
Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

Noc porcelanowa



Mówią często, że niewiele pamiętają, to było przecież tak dawno. Nie pamiętają: nazwisk sprawców - swoich sąsiadów, liczby sprawców („to grupa młodych ludzi, którzy pochodzili ze złych rodzin i mieli kłopoty z prawem”), liczby ograbionych i zniszczonych cygańskich domów (kilka? kilkanaście?). Wyroków.

Pamiętają: artykuły w prasie. Mówią: źle się stało, ale to nie był pogrom, jak pisały gazety, bo nikt nie zginął, nawet nikogo nie pobili. Prasa wstydu Mławie narobiła na cały kraj.

Stało się, po co do tego wracać, lepiej żyć dniem dzisiejszym.

Syna ci przejechali!

Mława w centralnej Polsce, 23 czerwca 1991 roku, pochmurna niedziela, 22.30, przejście na skrzyżowaniu ulic Piłsudskiego i Morawskiej. 17-letni Cygan, Roman M., uderza samochodem 21-letniego Jarosława Pińczewskiego i jego 19-letnią dziewczynę, Katarzynę Zakrzewską. Jarosław odbywał służbę wojskową, przyjechał do Mławy na przepustkę.

Roman kilkanaście dni wcześniej zdał egzamin na prawo jazdy (później, w więzieniu w Barczewie, biegły przeegzaminował go z przepisów prawa drogowego: nie potrafił rozpoznać żadnego znaku, w teście udzielił tylko jednej dobrej odpowiedzi).

Tego dnia jechał czarną ładą samarą (miasto mówiło, że to był luksusowy mercedes albo beemka, bo gorszymi Cyganie nie jeżdżą). Wcześniej u stryja, razem z kuzynem, oglądali filmy na wideo. Było późno, Roman zaproponował, że go odwiezie, poprosił stryja, żeby mu pożyczył samochód.

- Za godzinę czy dwie przyjechał i wtedy zobaczyłem, że samochód jest rozbity - opowiadał przed sądem stryj.

Samochód zabrała policja, a Roman gdzieś przepadł.

Jak później ustalił biegły, jechał za szybko, ponad 90 kilometrów na godzinę, zjechał na lewy pas, uderzył w ludzi i wylądował w rowie. Próbował hamować. Gdy zobaczył, że leżą na jezdni, wycofał samochód z rowu i szybko odjechał. - Uciekłem, bo się bałem. Wszyscy lecieli do mnie, krzyczeli. Bałem się, że zrobią mi krzywdę. Ja nie chciałem tego zrobić, przeżywam cały ten wypadek - mówił przed sądem. Płakał.

Do ojca Jarosława Pińczewskiego przybiegli sąsiedzi: „Syna ci przejechali!”. Jarosław zmarł po dwóch tygodniach. Katarzyna jest kaleką: miała stłuczenie mózgu, złamanie podstawy czaszki, otwarte złamanie podudzia.

Adam Chmieliński, ówczesny burmistrz: - Policjanci skandalicznie długo szukali sprawcy. Ale zawarli z Cyganami dżentelmeński układ: jak któryś miał kłopoty z prawem, kontaktowali się z ich wójtem, którego bardzo szanowali. Tym razem wójt się z tego układu wyłamał i jakiś czas krył chłopaka. Może dlatego, że obawiał się o reakcje ludzi. Sytuacja go przerosła, i nic dziwnego.

Cygański wójt Władysław Paczkowski przejął tę funkcję po zmarłym teściu, Eugeniuszu Paćkowskim, więźniu Auschwitz, który cieszył się w Mławie ogromnym autorytetem. Wójt miał wtedy niewiele ponad 30 lat i trudnił się handlem obwoźnym (jak najbardziej legalnym).

- Nie powinien uciekać, ale przestraszył się, że go tam zlinczują – mówi. - Zwróciłem się do rodziców, że muszą chłopaka dostarczyć na policję. Namawiał ich do tego mój ojciec, też więzień Auschwitz, który duże poważanie

miał. Matka Romana płakała bardzo, jak to matka, ale w końcu posłuchali, wydali. To dobry chłopak był, spokojny, nie pił, rodzice nie byli bogaci, ojciec prowadził niewielkie gospodarstwo.

Po mieście poszła plotka: ojciec Romana przekupił policję i prokuraturę.

Ojciec i cygański wójt przyprowadzili Romana na komendę 25 czerwca, we wtorek. Policjanci szybko wywieźli go do aresztu śledczego w Działdowie. Komendant kazał rozplakatować informację, że sprawca został aresztowany i nie ma go w mieście.

Po mieście poszła plotka: wójt powiedział zaraz po wypadku, że ma sądy i policję w kieszeni. Wójt akurat tamtędy przejeżdżał, ale Romana już w areszcie nie było. (- Nie mówiłem tak, nikt mi w oczy tego nie zarzuci! My nie latamy po sądach i na policję, nie mamy z nimi żadnych interesów - powiedział prasie wójt kilka dni później).

Po mieście poszła plotka: wójt poszedł do szpitala, gdzie umierał młody żołnierz, z workiem pieniędzy. (- To nieprawda! Ludzie ze szpitala to sprostowali, powiedzieli, że wójta w ogóle tam nie było - powiedział prasie wójt kilka dni później).

Wreszcie zagranie przeciwko Cyganom

W środę wieczorem pod komendą zbierają się ludzie.

Adam Chmieliński: - Wieczorem zadzwonił do mnie komendant policji i powiedział coś, czego w pierwszej chwili nie rozumiałem: tłum atakuje i domaga się wydania Cygana. Chciał, żebym zadzwonił do wojewody ciechanowskiego i poprosił, żeby zalecił komendantowi wojewódzkiemu przysłanie posiłków. Zrobiłem to. Oni w końcu odstąpili i ruszyli na cygańskie domy. Był już zmrok, a po zmroku ludzka odwaga tanieje, bo twarzy nie widać.

Okolo 21 grupki młodych ludzi zaczynają się zbierać w dwóch barach z piwem, zwykłych mordowniach, przy ulicy Słowackiego i „Torfa” Załęskiego. W większości młodzi, po zawodówkach, kilku bezrobotnych. „Simel”, „Bugaj”, „Kaczor”, „Kartofel”, „Baca”. Niektórzy z wyrokami. Do piwiarni przy Słowackiego przyjeżdża żukiem Tomasz G., choć na zwolnieniu warunkowym miał zatrzymane prawo jazdy. Żuk się przydał: można nim było przerzucać ludzi z barów do cygańskich domów przy: Pogorzelskiego, Podgórznej, Górnej, Brackiej, „Torfa” Załęskiego, Wójtostwo, Różanej, Żuromińskiej, Korczaka, Powstańców Wielkopolskich, Olsztyńskiej, Bednarskiej, Świerkowej, Makowej, Warszawskiej.

A także zwozić ich spod fontanny na rynku, gdzie się zbierały kolejne grupy. Tomasz G. odwiózł do domu żonę, która czekała w samochodzie, aż mąż strzeli sobie piwko, i wrócił do barku. Na pakę żuka wsiadło kilkunastu mężczyzn: mieli już przygotowane kije, pałki, sztachety, łomy, kamienie. Zabrali ludzi i pojechali do piwiarni przy „Torfa” Załęskiego, zwanej „kuźnią”, skąd było niedaleko do cygańskich domów. - Na początku wcale nie mieliśmy zamiaru tego robić. Zebrała się grupka kolegów Jarka Pińczewskiego w ogóle młodych, wściekłych, że to właśnie jemu się przytrafiło. Potem grupki się połączyły - mówili potem „Dwutygodnikowi Mławskiemu”. I jeszcze: - Roznosiły się plotki, jak się zachował cygański wójt przy wypadku. To słowa wójta były decydujące, że ludzie nie mogli znieść tej sytuacji. To była akcja zbiorowa.

Albo: - Oni mieli w kieszeni wielu ludzi, którzy tu decydowali. To było je-

dyne wyjście. Może zmienia się i rozumieją.

Po drodze tłum rośnie do dwustu, trzystu, czterystu osób, przyłączają się kobiety i dzieci.

Najpierw ruszają na cygańskie wille, które nazywają „belwederami”, bo takie duże, bogate i są dowodem na cygańską bezkarność. Potem - na skromniejsze domy. Na ogół domowników już tam nie było - zaraz po wypadku uruchomił się system ostrzegawczy, Cyganie czuli rosnące napięcie, a i polscy sąsiedzi ostrzegali, że jakaś zadyma się szykuje.

Zbigniew Wiśniewski, bratanek wójta: - Nie mieszkaliśmy wtedy w Mławie, ale jak tylko usłyszałem, że się zaczęło, przyjechałem, żeby pomóc. To był horror, od „Torfa” Załęskiego szła gromada trzystu-czterystu osób i niszczyła wszystko po drodze. Tłukli pamiątki po dziadkach, pradziadkach, co się je latami chowa. Rozbijali meble. Niszczyli samochody. Prowadzących może było ze dwudziestu, w różnym wieku. Podpici. Mieli w rękach kije, łomy, bańki z benzyną, kamienie. Wrzeszczeli „Precz z Cyganami!”, „Śmierć brudasom!”, „Cyganie do Rumunii!”. Niektórzy zasłonili twarze. Zналиśmy tych chłopaków, wielu się z nami kolegoowało, chodziliśmy razem do szkoły. Wielu ludzi z ciekawości szło, masa kobiet. Nie protestowali. Jedni rozbijali, a drudzy kradli, co popadnie - jakiś czas potem dużo naszych dziewczyn zrywało swoje ubrania z polskich dziewcząt. Gdyby policja w porę zareagowała, nie byłoby czegoś takiego.

Kilku mławian próbuje interweniować. Słyszą: „Nie wtrącajcie się, bo czeka was to samo”.

Cyganie ukrywają się u polskich sąsiadów. Wiśniewski mówi, że dużo było życzliwych Polaków. Na przykład rodzice Przemysława Kubińskiego, dziś dyrektora Liceum im. Wyspiańskiego, którzy mieszkali po sąsiedzku z rodziną cygańską (miała parterowy skromny domek) i uczyli w podstawówce jego właścicielkę. Zostawiła u nich rzeczy na przechowanie. Byli Polacy, którzy proponowali Cyganom nocleg, bo zostali bez łóżek.

Gdy tłum dociera do domu przy Świerkowej, gdzie mieszkali rodzice Romana, przyjeżdża komendant. Apeluje o spokój, mówi, że Roman siedzi. Ludzie krzyczą, że Cyganie go przekupili. Wraca na komendę i ściąga policjantów, którzy nie są tego dnia na służbie.

Adam Chmieliński: - Cyganie mieszkali w takich ładnych, kameralnych miejscach, wąskie uliczki, parcele, dużo krzaków. Z operacyjnego punktu widzenia to były dla policji trudne miejsca, bo mieli do opanowania duży teren. Bali się też wejść brutalnie: jeśli zaatakują pałami, to może się skończyć rozlewem krwi, zamieszki się rozprzestrzenia i wtedy naprawdę przestaną panować nad sytuacją.

Ale na posiedzeniu komisji rządowej powołanej przez premiera Bieleckiego, która badała wydarzenia w Mławie, ostro skrytykował miejscową policję. - Bo jeśli oni nie dają sobie rady, to jak ja mam dawać? Protokół jednak postanowiono utajnić, żeby nie podgrzewać nastrojów. Stworzono drugą wersję, bardziej wygładzoną, żebym miał co dać dziennikarzom.

Tłum rusza ze Świerkowej na Warszawską, a potem na Różaną, pod dom cygańskiego wójta.

Wójt: - Nie było nas, kiedy przyszli. Wyrwali drzwi i okna, weszli do środka. Wyrzucili wszystko na podwórko, mieli litrowe bańki z benzyną, podpalili. Policja nie mogła dać rady, przewrócili radiowóz. W środku wszystko było zrujnowane, potłuczone kryształ, cośmy długo zbierali, modne były. Jakby



Do Mławy w czerwcu 1991
przyjeżdżają posiłki z
Ciechanowa i Płocka.
Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

stado dzikich koni przeszło. Tam jednej łyżeczki do herbaty nie było. Wśród tych, którzy niszczyli, byli też koledzy naszych dzieci. Dawniej przychodzili tu, częstowali ich kawą czy oranżadą, pożyczaliśmy kasety. Tak się odwdzięczyli.

Wyrwali ze ścian przewody gazowe. Przyjeżdża straż pożarna, bo jak gaz wybuchnie, będzie masakra. Przyjeżdża policja. Rozgania tłum gazami łzawiącymi.

- No, wreszcie zagranie przeciwko Cyganom - powiedział Tomasz G., który po wszystkim poszedł na piwo z kolegami.

W czwartek wieczorem tłum gromadzi się w miejscu wypadku. Komendant, wspierany przez księdza, apeluje o spokój. Gwizdy. Policja używa gazów łzawiących. W stronę radiowozów leżą kamienie, dwóch policjantów zostaje rannych. Tłum się rozprasza, zbiera w innym miejscu i rusza na Cyganów - także tych biedniejszych, którzy mieli mieszkania na osiedlach. Oszczędzono tylko tak zwane baraki przy „Torfa” Załęskiego, w których najbiedniejsi Cyganie żyli jeszcze od lat 60., gdy zatrzymano tabory.

Przez dwa dni zniszczono 21 domów i dziewięć mieszkań. Policja aresztowała 21 osób. Komisja rządowa wyceniła straty cygańskie na 4,8 miliona (w dzisiejszych złotych). Pod domami cygańskimi ustawiono patrole. Adam Chmieliński: - Byłem chory, jak zobaczyłem te domy, a widziałem wszystkie. To była apokalipsa. Dwucalowe rury grubości ludzkiej ręki zwinęte niemal w supeł, barierki i balustrady metalowe powyginane jak makaron, okna wyrwane razem z futryną, wyszarpane wanny. Podchodzę do sprawy jak inżynier i wiem, że takie zniszczenia wymagają określonej liczby ludzi, metodycznego, wspólnego działania. Gdyby pani poprosiła kilkanaście osób, żeby zrobiły to samo, bo jest potrzebne na przykład do jakiegoś filmu, to one powiedzą, że muszą sprowadzić odpowiednie maszyny, bo gołymi rękami nie dadzą rady. Takie zniszczenia absolutnie przerastały możliwości fizyczne tak małej grupy, którą później skazano. Policjant, wtedy w dochodzeniówce: - Pamiętam, że chodziło się po rozbitym szkłe, po porcelanie, po jakichś drogich figurkach, leżały wszędzie, jakby deszcz spadł.

Rzeczy

Mławscy szklarze musieli mieć potem złote żniwa. Bo szyby okienne, szyby w drzwiach, regałach, szafkach kuchennych, szafkach łazienkowych, lustra i lusterka. Zawsze zaczynało się od szyb. Gdy już się je wybiło kamieniami, trzeba było wyważyć metalową bramę albo przewrócić przesło ogrodzenia, potem wyrwać drzwi wejściowe i już się było w środku, w całym tym bogactwie.

Można było: krzesła, stoły, łóżka, regały, szafy, szafki w kuchni i łazience - połamać (krzesła najlepiej przewrócić i nogą wykopać siedzenie, wtedy jest łatwiej), kanapy - rozpruć, wanny, sedesy, kafelki - wyrwać i zmiażdżyć łomem, porcelanowe zegary, talerze, włoskie serwisy, szklanki, żyrandole, figurki, radia, telewizory, magnetofony, wideo, aparaty telefoniczne - potłuc, pościel, ręczniki, sukienki, swetry, spodnie, damskie majtki i biustonosze, futra, dywany, kilimy, firanki, obrusy, skóry - pociąć, akordeony - skopać z buta, lodówki, kuchenki gazowe - przewrócić i obić łomem, rowery i dziecięce rowerki, samochody, przyczepy kempingowe - obić łomem i sztachtetą. Czego nie rozbito, wyrwano, połamano, zmiażdżono, pocięto - ukradziono. Damskie majtki też.

Rozjedziemy to wasze miasteczko

W piątek przyjechały posiłki z Ciechanowa i Płocka, policjanci zainstalowali się w internacie dawnej szkoły handlowej. Miasto zapadło w stan wyczekiwania. Adam Chmieliński: - Było ładnie, świeciło słońce, ale tak się podskórnie gotowało, informacyjny szum, wyłuskać z plotek rzeczywiste zagrożenie było bardzo trudno. Był taki niewypowiedziany stan wyjątkowy.

Zbigniew Wiśniewski: - Człowiek się bał do sklepu pójść, a trzeba przecież wychodzić.

Elżbieta Śliwińska, pedagogka szkolna w Liceum im. Wyspiańskiego: - W powietrzu się czuło niedobrą, niezdrową atmosferę. Pamiętam ciszę. Bałam się. Studiowałam, przyjechałam do Mławy na kilka dni. Mam ciemną karnację, byłam ubrana w długą spódnicę, taka była moda wtedy, szłam przez rynek. A tu się jakieś okno uchyla i słyszę: „Uciekaj, Cyganeczko, bo cię tu ukamienują zaraz!”.

Potrącony żołnierz jest w beznadziejnym stanie, wiadomo, że umrze. Pogrzeb to zgromadzenie i groźba wybuchu. Zaplanowany mecz MKS „Mławianka” to następne zgromadzenie i groźba wybuchu. Burmistrz chce wprowadzić zakaz sprzedaży alkoholu. Wtedy mogła go wydać tylko Rada Ministrów na wniosek wojewody. Wojewoda obiecał burmistrzowi, że to załatwi. Rząd rozpatrzył wniosek, ale procedury trwałyby następny tydzień, za długo.

- Zaryzykowałem: napisałem do wszystkich handlujących alkoholem kategoryczne pismo, żeby wstrzymali sprzedaż. Nie miało mocy prawnej, ale oni o tym nie wiedzieli, jak się później okazało, z jednym wyjątkiem. Zgodzili się. Jakiś czas potem prezes PSS „Społem”, które miało wtedy większość sklepów w Mławie, przysłał pismo, że obciąży mnie gigantycznymi kosztami, bo masa piwa niesprzedanego. Wykręciłem się z tego, a mogłem beknąć. Myślę, że wtedy zrobiłem wszystko, co się dało.

W sobotę na spotkanie z burmistrzem przyjechał z Nowego Dworu Mazowieckiego Szero Rom - cygański zwierchnik, Henryk „Nudzio” Kozłowski. - Powiedział: „Panie burmistrz, czy ty wiesz, że na jedno moje skinienie to wasze miasteczko rozjedziemy? Ludzie tylko czekają w lasach na mój znak”. Odpowiedziałem: „Panie królu, a czy pan wie, że na jedno moje skinienie przyjedzie tu dywizja policji? Ale nie o to chodzi, żeby nasze bezpieczeństwo z tego wynikało”. Przepraszałem go za to, co się stało, mówiłem, że robimy wszystko, żeby pogodzić obie społeczności, że musimy się dogadać, szanować nawzajem. Że tabory cygańskie zatrzymały się tutaj tak licznie, bo Cyganie lubią Mławę. „Panie królu - mówiłem - chodzi o to, żebyśmy żyli obok siebie normalnie jak sąsiedzi - w sklepie, na cmentarzu, w kościele”. Wójt mówi, że jakby napastnicy przyszli jeszcze raz, toby ich usadzili. - Z takimi gnojkami, co policja sobie nie poradziła, my dalibyśmy radę. Cyganie zgromadzili się pod naszym domem, powiedzieli, że jak którego dorwą, to koniec z nim. Chcieli zrobić rewanz. W lesie samochody z całej Polski czekały. Ale my nie chcieliśmy, przecież to nasze miasto, rodzina cała tu żyje, jakże tak? Tłumaczyłem ja, mój ojciec, szwagier: „dajcie spokój, przecież nie wszyscy to robili, jakieś głupki się popili”.

Mecz Mławianki przebiegł bez zakłóceń. Po grze burmistrz wziął do ręki mikrofon, podziękował za wspaniałą atmosferę, powiedział: „ze względu na sytuację, w jakiej znalazło się nasze miasto, proszę, żebyście się rozeszli do domów”.

Pogrzeb Jarosława Pińczewskiego przebiegł bez zakłóceń. Przyjechała kompania honorowa, ludzie ujęło, że wojsko swojego chłopaka tak godnie potraktowało, płakali. Ci w podkoszulkach, nieogoleni, nabuzowani, też płakali. Od tego momentu w Mławie nastał spokój.

Złamali zasady

Po rozruchach „Dwutygodnik Mławski” zebrał opinie mieszkańców.

Pielęgniarka: - Metody oczywiście nie pochwalam, ale druga strona też ma wiele na sumieniu.

Prawnik: - Niektórym jest wstyd, ale nielicznym. Społeczeństwo polskie nie umie jednej rzeczy: przyjrzeć się sobie krytycznie. Nie bądźmy świętoszkowaci. Polacy też szarżują szybkimi samochodami.

Burmistrz: - Tym zająciami, niestety, towarzyszyła cicha aprobata niektórych tzw. porządnych obywateli. To żenujące, że są ludzie o takich poglądach.

Burmistrz dziś: - Ktoś do domu przynosi łupy - rodzice tego nie widzą, nie wiedzą, co się stało w mieście? Ja o to oskarżam mławian. I choć uważam, że to nie był wybuch etnicznej nienawiści, bo atakowano mienie, i to mienie nie każdego Cygana, tylko bogatego, to nie jest usprawiedliwienie.

Cygański wójt zaraz po rozruchach powiedział prasie: - Co będzie dalej, zależy nie tylko od władz, ale też od społeczeństwa. Społeczeństwo powinno zrozumieć, że wystarczy już nam tego, co nam zrobiono. Liczymy na zrozumienie. Chcemy tu mieszkać, jesteśmy mieszkańcami Mławy dłużej niż ci, którzy nam to zrobili. Dziewczyny polskie, które widziały, co zostało z naszych domów, to płakały. Trzeba wszystko zapomnieć. Są gorsze rzeczy. To, co się stało, będzie nas bolało bardzo długo. My przebaczymy.

Wójt, podobnie jak mławscy Romowie, uważa, że to nie była nienawiść do Cyganów ani zemsta za wypadek. - Bo jakby chcieli się zemścić, to najpierw by ruszyli na rodzinę Romana, zrozumielibyśmy to. To była zwykła zazdrość. Poszli na bogatych.

Zaraz po rozruchach do Mławy przyjeżdżają na badania socjologów: Anna Giza-Poleszczuk i Jan Poleszczuk. Chcą zbadać przyczyny wydarzeń. Uważają, że są znacznie bardziej skomplikowane, niż je przedstawia prasa.

Profesor Anna Giza-Poleszczuk: - Pamiętam szarość dookoła, i ludzi, podenerwowanych, zestresowanych. To miasto gdzieś się ukryło za ludźmi. Byli bezradni. Wszyscy. Ich to zaskoczyło, nie potrafili się do tego odnieść. Przyjęli nas z otwartymi ramionami, z nadzieją, że uda im się zrozumieć, co się stało i zdjąć z siebie straszliwe odium ksenofobii i etnicznej nienawiści. Cyganie byli przestraszeni, nie wiedzieli, w jaką stronę to wszystko pójdzie, jak się skończy. Żadna ze stron nie mogła sobie poradzić ze zrozumieniem własnych reakcji i emocji.

W 30-tysięcznej Mławie mieszkało wtedy około 250 Cyganów - 55 rodzin. W 1964 roku, po zatrzymaniu taborów, umieszczono ich administracyjnym nakazem na ulicy „Torfa” Żałęskiego, w niskich murowanych barakach.

Adam Chmieliński: - Jeszcze trzydzieści lat temu za barakami stały cygańskie wozy malowane w różę. Odrapane, bez dyszli, bez kół. Widziałem, jak stary Cygan wychodził w nocy, siadał na stopniach wozu i rozpalał małe ognisko. Na powietrzu chciał być, a nie w tym baraku cholernym. Dla Cygana to było upokarzające, zamknąć go w takim miejscu.

Cyganie i Polacy żyli poprawnie, żadnych scysji, burd. Dla mławian Cyganie byli „biedni, brudni i weseli”, tolerowano ich, może trochę zazdrościono tej wolności.

Ale u schyłku lat 80. wszystko się zmienia.

Gdy otworzono granice, pierwsi zaczęli wyjeżdżać Cyganie. Czasami władze dawały im paszporty pod warunkiem, że trochę popracują „na posadzie”. Wójt Paczkowski zatrudnił się jako palacz w przedsiębiorstwie ogrzewania miasta. Przpracował tyle, ile mu kazali, ani dnia dłużej.

- W mętnej wodzie końca socjalizmu każdy kombinował, jak mógł, nie zawsze legalnie, Polacy też - mówi Chmieliński. Ale Cyganie mieli znajomych na całym świecie i smykałkę do interesów. Zaczęli sprowadzać sprzęt, samochody. Wszystko szło na pniu, a Cyganie się bogacili.

W szarej i smutnej Mławie pojawiają się „belwedery”, kolorowe, z kolumnami, posągami i fikuśnymi daszkami, na atrakcyjnych parcelach. Bogato wyposażone - wszystko zagraniczne, drogie. Cyganie pracowali na to latami w Kanadzie, Ameryce, Niemczech.



Metalowe balustrady
powyginane jak makaron,
okna wyrwane razem
z futryną, wyszarpane wanny
- to widok który pamiętam -
wspomina burmistrz Mławy
z 1991 Adam Chmieliński.

Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

Trochę biedniejsi stawiają skromniejsze domy, kilka rodzin zostaje w barakach.

W sklepach mięsnych bogatsze Cyganki już nie kupują mortadeli i salcesonu, tylko szynkę. No i do tego wpychają się bez kolejki. Szastają pieniędzmi. Cygańskie chłopaki zaczepiają polskie dziewczyny, a one wsiadają do tych luksusowych bryk, rozbijają się po mieście i pewnie się puszczają za prezenty. Cygańskie chłopaki mówili: „Wystarczy, że się na chwilę zatrzymam, a już mi wskakują do samochodu”.

Adam Chmieliński: - „Ćwiczyli” na dziewczynach spoza swojego środowiska, bo to był dla nich sprawdzian, czy są równie dobrzy jak Polacy. Ludzie widzieli często, jak na zebrze zatrzymuje się młody Cygan, władza do niego podchodzi, a on się wyklóca, trzaska drzwiami i odjeżdża. Przecież z władzą tak się nie rozmawia!

Kruczą równowagę diabli wzięli.

Profesor Anna Giza-Poleszczuk: - Cyganie stają się elitą ekonomiczną i chcą szacunku. Przestają być przymilni i pokorni. Zdaniem Polaków są

bezczelni, bo zdobyli bogactwo nieprawomocnie: przecież ledwo umieją czytać i pisać, nie płacą podatków, nie biorą ich do wojska, nie uczą się. Urząd skarbowy kontroluje Polaków, a przymyka oko na cygańskie fortuny. Polacy harują, pokończyli studia, a takich bogactw nie mają. W Mławie 35-procentowe bezrobocie, jedno z największych w Polsce. W wolnym kraju ciężko się żyje. Rośnie frustracja. A Cyganie chcą pokazać Polakom, że są nie gorsi od nich - może i mają pięć klas podstawówki, ale głowy lepsze. Przełamują w ten sposób zasady dyskretnego wykluczenia. To, co mogło być tolerowane, gdy zajmowali marginalną pozycję, staje się źródłem konfliktu. Próby wymuszania szacunku obracają się przeciwko nim.

Elżbieta Paczkowska, żona wójta: - Przecież na te „belwedery” i samochody tośmy nie w Polsce zarobili! Młodzi ludzie cały czas wyjeżdżali do Ameryki, Kanady, Niemiec. Ale tu pieniążki ściągali, do Mławy. Jak polscy ludzie wyjeżdżali, też się dorabiali. Ale u Cyganów Polacy widzieli tylko te rodziny, które mają, a tych, co nie mają, nie widzieli. My nikomu nie kradli, żaden Polak takiego zarzutu nam nie postawił. Harujemy, od kiedy się pobraliśmy ponad czterdzieści lat temu. Zawsze byliśmy zarejestrowani, ubezpieczeni, nic na dziko.

Wójt: - Człowiek chciał pokazać, że coś potrafi, a tu okazało się, że jeszcze gorzej. Bo jak ludzie widzieli Cygana wesołego, biednego, brudnego, to go tolerowali, niech sobie żyje. Ale jak się okazało, że zarabia, bo ma łeb - o, to wara! Pilnuj swojego miejsca. Czy za bardzo obnosiliśmy się z bogactwem? Młodzi Cyganie inaczej chcieli, lepiej poukładać sobie życie. Mieć dom i samochód. To coś złego?

Kiedy zatrzymano tabory, ojciec Elżbiety Paczkowskiej wziął się za handel (a to konie, a to patelnie), kobiety chodziły po wsiach, ludzie wtedy chętniej sobie wróżyli. Nie mieszkali w barakach, wynajmowali mieszkanie od prywatnego właściciela. Po ślubie otworzyli obwoźną budkę z warzywami. - Jeździło się nocą na giełdę do Warszawy i od razu z giełdy na targ. Było umęczenie wielkie, człowiek ciągle niedospany. Dzieciaki też pomagały, przychodziły ze szkoły, plecaczki zdejmowały i od razu na targ. Potem kupiliśmy duży budynek, rudere, ale pożycziliśmy pieniądze i zrobiliśmy ładną piekarnię. Szło nam, ale było ciężko, bo jak wody nie było albo światło wyłączali, a wtedy to się ciągle zdarzało, to chleb się marnował, ciasto siadało. Sprzedaliśmy piekarnię, oddaliśmy pożyczkę i znowu wzięliśmy się za handel - skóry, ubrania, co podeszło, na co był czas. Za granicą byliśmy, tam też ciężko pracowaliśmy.

Od dwunastu lat Paczkowscy prowadzą we wsi Modła pod Mławą restaurację Czardasz: chrzciny, komunie, wesela, studniówki, bale, imprezy okolicznościowe. Sala weselna na 180 osób. Marmury, barokowe zdobienia, wszystko lśni. Po drugiej stronie wylotówki na Warszawę ich syn ma restaurację z pokojami gościnnymi. Córka restaurację Biały Dworek w Mławie w stylowym, eleganckim „belwederze”.

Ale wtedy w mieście rosło przekonanie, że skoro władze nie potrafią ukarać nieuczciwych pasożytów, trzeba brać sprawę we własne ręce. Rok wcześniej chłopci zablokowali mławską mleczarnię i drogi do Mławy po tym, jak ceny mleka drastycznie spadły. Późniejsze blokady Leppera to przy tym pestka: chłopci wzięli w jasyr całe miasto, zaczęło brakować mąki na chleb, nie wyjeżdżały karetki pogotowia.

Chmieliński: - Blokada pokazała, że władza centralna się nie sprawdziła,

że można liczyć tylko na siebie. To wtedy Wałęsa powiedział: „bierzcie sprawy w swoje ręce”.

Tam stało pół Mławy

W marcu 1992 roku w Sądzie Rejonowym w Mławie odbyła się rozprawa przeciwko Romanowi M. Został skazany na dwa lata więzienia i zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na pięć lat. Później Sąd Wojewódzki skraca karę: zarządza warunkowe przedterminowe zwolnienie, zaliczając dziewięć miesięcy tymczasowego aresztu. Bo: młodociany wiek, poważne schorzenie (zwyrodnienie prawego stawu biodrowego), szczerza skrucha, dobra opinia w miejscu zamieszkania i w więzieniu. Rzeczywiście, nie sprawiał problemów wychowawczych, cztery razy nagradzany za wzorowe zachowanie. Nie korzystał z biblioteki, bo czytał i pisał z dużą trudnością. Słuchał muzyki i oglądał filmy na wideo.

Po zwolnieniu wyjechał za granicę.

Za udział w rozruchach postawiono w stan oskarżenia siedemnastu dorosłych mławian i jedenastu nieletnich w wieku od 13 do 17 lat (byli sądzeni odrębnie, w sądzie dla nieletnich). Prokuratura ustaliła: sprawcy są winni niszczenia mienia, włamań, kradzieży, paserstwa. Pokrzywdzonych zostało czterdziestu jeden Cyganów. Wszystkich oskarżonych Sąd Wojewódzki w Warszawie uznał za winnych. Wyrok zapadł 23 października 1992 roku. Sąd skazał siedem osób na karę więzienia od pół do dwóch i pół roku. Dziesięć osób dostało kary w zawieszeniu, grzywny lub nawiązki.

W uzasadnieniu Barbara Piwnik, przewodnicząca składu sędziowskiego, napisała: „Do konfliktu doszło na skutek obcości, jaka istniała między Polakami i Cyganami. W mieście nie robiono nic, aby niezrozumienie między dwiema społecznościami zostało przełamane”.

- Bardzo się do tej rozprawy przygotowałam, wiele przeczytałam na temat życia społeczności romskiej, stosunków polsko-romskich - mówi sędzia. - W uzasadnieniu wyroku sięgnęłam aż do XIV wieku, odkąd Cyganie zaczęli się osiedlać na ziemiach polskich. Niektórzy koledzy nawet z tego pokpiwali, ale znajomy prawnik, członek komisji rządowej powołanej po mławskich zdarzeniach, powiedział, że moje uzasadnienie było lepsze niż jego raport - śmieje się.

Z uzasadnienia: „Większość osób znała się od lat, często razem wychowywała - jak w przypadku Tomasza G., którego rodzina mieszkała w tym samym budynku, co rodzina Stanisława Paczkowskiego. Tomasz M. bywał w domu Adama Paczkowskiego, spędzał czas w jego towarzystwie, korzystał z gościnności jego rodziny, która mieszka na stałe w Niemczech, gdzie wyjeżdżał m.in. po zakup samochodu. W piekarni wójta pracowali Polacy i nigdy nie było nieporozumień co do płacy i warunków pracy. To w niczym nie zmieniło ferowanych na publiczny użytek ocen”.

Andrzej Mirga, ówczesny szef Stowarzyszenia Romów, ogłosił, że Cyganie nie kwestionują wyroku.

Matka jednego ze skazanych powiedziała dziennikarzom: - Na Cyganów szło pięćset ludzi, a siedzi siedmiu. Ta reszta też nie szła odmawiać różańca. Sędzia Piwnik podkreśliła w uzasadnieniu, że oskarżeni nie wyczerpują listy osób, które brały czynny udział w zamachu na mienie Cyganów. To efekt specyficznie pojmowanej moralności: świadkowie twierdzili, że nikogo nie rozpoznali, że stali na końcu tłumu. Unikali podawania szczegółów. To

dlatego jest tak niewielu oskarżonych, choć jeden ze świadków wyznał: „tam stało pół Mławy”.

- Pamiętam, jak jeden ze świadków, zawodowy strażak, a więc osoba, która powinna bronić innych, powiedział, że Cyganom się należało. - Za co? - zapytałam. - Bo się panoszą. - Co to znaczy? Okazało się, że on kilka dni temu wracał z pracy samochodem, a na ulicy stało dwóch Cyganów i nie mógł przejechać.

To ten sam strażak, który przyjechał do domu wójta, żeby zabezpieczyć wyrwane przewody gazowe. W sądzie powiedział jeszcze: - Za mało zostało zdemolowane. Za to wszystko, co Cyganie robią i robili w Mławie, za wywyższanie się i za takie rzeczy to była za mała kara.

Oskarżeni i świadkowie często mówili, że Cyganie się panoszą.

Większość oskarżonych zaprzeczała, że podburzała do grabieży: „Tylko rzucałem kamieniami”, „tylko obserwowałem tłum”, „rzucałem kamieniami w samochody, ale nie trafiłem”. Marek R. przyznał, że wprawdzie wziął kamienie, ale nimi nie rzucał, bo wszystkie szyby były już wybite.

Większość nie okazała skruchy.

- Pamiętam, jak uczciwie zachowywali się cygańscy świadkowie, którzy zgodnie ze stanem faktycznym opisywali zniszczenia swoich domów i mieszkań - mówi sędzia Piwnik. - Jedna z kobiet zeznała, że zginęła jej droga biżuteria, z brylantami. Potem zmieniła zeznanie: ochłonęła, chce sprostować, część biżuterii była w skrytce i rabusie jej nie znaleźli. Zeznaje młody Rom, że napastnicy zabrali mu dwa garnitury i pięć jedwabnych koszul. A jego matka potem prostuje: - Nie dwa, tylko jeden, bo kiedy synowa zaczęła porządkować zdemolowany dom, jeden garnitur znalazła.

Pamięta też, że któryś ze świadków, stary Cygan, powiedział: „Proszę sądu, żeby tych chłopaków puścić, niech oni nie siedzą w więzieniu”. Bo dla Romów najważniejsza jest wolność i nie chcieliby, żeby ją komukolwiek odbierać.

Stowarzyszenie Romów w Polsce dążyło do procesu o odszkodowania. Cyganie uważali, że choć nie byli ubezpieczeni, winien jest rząd, bo policja nie dopełniła swoich obowiązków. Ale nie mieli pieniędzy na założenie sprawy - musieliby zapłacić 13 procent kwoty odszkodowania, czyli 65 tysięcy złotych. Poza tym się bali, że to znowu ludzi rozwścieczy.

Profesor Anna Giza-Poleszczuk: - Gdyby Cyganie dostali prawie pięciomilionowe odszkodowanie w tej biednej Mławie, to by dopiero było! Wyobraża sobie pani?

Tylko dwie rodziny były ubezpieczone. Reszta niczego nie dostała. Nie odzyskano ukradzionych rzeczy (poza tymi sukienkami zdjętymi z polskich dziewczyn).

Cygański wójt: - Niektórzy do dziś się po tym nie pozbierali ekonomicznie. Wielu grabionych wyjechało.

To nas nie interesuje

Profesor Anna Giza-Poleszczuk: - Po rozruchach miasto pozostawiono samemu sobie, a społeczność Mławy potrzebowała psychologicznej ulgi płynącej ze zrozumienia wydarzeń. Trzeba było zrobić cokolwiek. Nie zrobiono, dlatego zamiast oczyszczenia nastąpiło zapomnienie.

Dr Leszek Zygmier, historyk z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Ciechanowie, mówi, że do tej pory widzi w ludziach ból, który pozostał po



Czerwcowo noc 1991
na ulicach Mławy.
Romowie przygotowani
do obrony swoich domów.
Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

wydarzeniach: prasa nazwała je antycygańskim pogromem, chociaż to nie był pogrom, Mława przestała się kojarzyć na przykład z bitwą, która opóźniła hitlerowski atak na Warszawę, tylko z miastem, „gdzie Cyganów biją”. To mogło stać się wszędzie. A Mława to już inne miasto, czerpie z wielokulturowych tradycji przedwojennych, gdzie żyło tu w zgodzie wiele nacji. Stosunki z Cyganami wróciły do normalności. To społeczność zamknięta i nikt na siłę jej wewnętrznej sfery naruszać nie chce, a w relacjach wszyscy starają się być poprawni. Co roku, jak jest we wrześniu pielgrzymka do cudownego obrazu Matki Boskiej w Żurominie, to parafię mławską reprezentują właśnie Romowie. Wspólnie się bawią, na przykład kilka lat temu na koncercie Don Vasyła, którego zaprosił obecny burmistrz. Dr Zygmier zbiera materiały o wydarzeniach, bo chce stworzyć bazę danych, głównie dla swoich magistrantów. Tematem interesuje się coraz więcej studentów, nie tylko z Mławy.

Elżbieta Paczkowska: - Z tym nie można cały czas żyć, bo jak nienawiścią

żyć? Nie chcemy do tego wracać, jest spokój. Pamiętamy, że wtedy polskie ludzie pomagali, przynosili jedzenie, dawali pieniądze, przechowywali nas. Przecież nie wszyscy jednakowi są. To, że wtedy wszystkich zrównali, to też nie w porządku było. Jak jeden zawini, to nie można całego miasta potępiać. Nigdy nie chcieliśmy stąd wyjeżdżać, nawet po tym, co się stało. Zanim nas zatrzymali, to nasze tabory cały czas kręciły się wokół tej Mławy, zawsze była nasza.

Zbigniew Wiśniewski (prowadzi handel obwoźny - garsonki, bluzki, koszule, które kupuje hurtem w Warszawie): - Dużo Cyganów z Mławy pracuje za granicą, ale wracają. Córka też teraz wróciła, tu ma dom, przodków na cmentarzu. Wnuki uczą się w polskich szkołach, chcę, żeby skończyły co najmniej gimnazja, bardzo tego pilnuję. O nas źle mówią ci, co nas nie znają. Jak kto mieszka blisko, marnego słowa nie powie.

Wójt: - Jak zaczęliśmy budowę Czardasza i skończyły nam się pieniądze, to Polacy materiały budowlane bez pieniędzy dawali. My dwa, trzy lata ich splanali, ale oni się nie bali, że oszukamy, wyprzemy się. Jak pójde do każdego sklepu, to mi da bez pieniędzy, takie zaufanie mamy. W Czardaszu zatrudniamy Polaków, nie krzywdzą sobie.

Pedagożka szkolna Elżbieta Śliwińska zna kobietę, która pracuje u Romów, sprząta, gotuje. - Opowiada, że bogaci, mnóstwo na jedzenie wydają. Ciągłe jest takie przekonanie, że Cyganie nie liczą się z pieniędzmi. Ale z drugiej strony ludzie mówią, że są hojni, pomagają, ubrania dają, jedzenie. Chociaż tak hermetyczni, umieją się dzielić tym, co mają.

Do Czardasza wchodzi para młodych Polaków. Chcą chrzciny wyprawić. Przez chwilę ustalają: kiedy, ile osób, czy ma być alkohol, ile to będzie kosztować.

- Polacy się u nas dobrze bawią, bo się nie oszukuje - mówi wójt.

Adam Chmieliński: - Od tamtych wydarzeń upłynęło prawie pokolenie, coraz mniej osób, zwłaszcza młodych, wie o nich, niestety. Może samorząd powinien dokładać do lekcji historii lokalnej w mławskich szkołach, żebyśmy się lepiej poznawali, żeby z tamtych wydarzeń jakąś naukę wyciągnąć? Bo to się tak wszystko rozjechało, rozeszło po kościach...

W Liceum im. Stanisława Wyspiańskiego nie prowadzi się lekcji poświęconych kulturze i obyczajom Romów, a to dlatego, uzasadnia dyrektor Przemysław Kubiński, że w liceum nie ma romskich uczniów. Szkoła nie realizuje też żadnych programów integracyjnych, bo niczego nie dają, są nachalnym edukowaniem - uważa. Naukę tolerancji trzeba testować w praktyce. W liceum są dzieci niepełnosprawne, a kontakty z nimi uczą młodzież szacunku wobec inności.

Maciek, pierwsza klasa Liceum im. Wyspiańskiego: - Babcia mi opowiadała, że Cyganie przekakiwali przez furtki domów na Warszawskiej i kradli kury. Rodzice opowiadają, że Cyganie mieszkali w pałacach i jeździli pięknymi samochodami. Uważam, i moi rodzice tak samo, że dwadzieścia lat temu powinniśmy działać zgodnie z prawem, nie niszczyć ich majątków. Natomiast ja rozumiem te emocje. Ale to już naszego pokolenia w ogóle nie interesuje. Koledzy z innych miast też kompletnie o tym nie wiedzą.

Klaudia, też pierwsza liceum: - Jak byłam mała, to babcia mi mówiła, żebym się nie oddalała od domu, bo Cyganie mnie ukradną. A mama pamięta, że dwadzieścia lat temu wybijano Cyganom szyby.

Maciek: - Cygan kojarzy mi się z tym, że piękne nowoczesne samochody



Mława, koniec czerwca 1991.
Na podwórku.
Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

mają, a nie widać, żeby pracowali. Bo jak widzę te ich pałace, a na ulicy Roma, który nie wygląda na bogacza, to trochę dziwne, prawda? Mają swoją kulturę, ale też dziwne zwyczaje, na przykład biesiadują na cmentarzu we Wszystkich Świętych.

Klaudia: - Nie podoba mi się zachowanie mężczyzn w stosunku do kobiet, takie przedmiotowe.

Maciek: - Są mi obojętni. Toleruję ich. Uważam, że Rom, niepełnosprawny, gej czy lesbijka to tacy sami ludzie jak ja.

Jolanta Koral

“ Tak się rozeszło po kościach ”

☼ Ludzie niczego nie zrozumieli,
nie wyciągnęli wniosków, wyparli. ☼ Jednak choć
mówią, że słabo zapamiętali rozruchy,
myślę, że pamiętają doskonale. ☼ Ale gdyby się
do tego przyznali, świadczyłoby to w ich
mniemaniu, że są winni
- mówi socjolożka profesor **Anna Giza-Poleszczuk**
w rozmowie
z Jolantą Koral



Wnętrze jednego z romskich
domów. Czego nie rozbito,
wyrwano, połamano,
zmiażdżono, pocięto
– ukradziono.
Mława, czerwiec 1991.
Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

Czy po dwudziestu jeden latach, jakie minęły od wydarzeń w Mławie, jesteśmy przygotowani na podobne konflikty? Czegoś się nauczyliśmy?
Profesor Anna Giza-Poleszczuk: Mława niczego nas nie nauczyła. Nie jesteśmy przygotowani, i to na wielu poziomach, poczynając od ludzkich relacji. W jednym z niedawnych wywiadów czarny poseł John Godson wygłosił niezmiernie ważną uwagę: nie jesteśmy rasistami, tylko nie mamy wzorów postępowania, tego, co nazywamy kompetencjami kulturowymi. W relacjach z Innym odczuwamy zażenowanie, skrępowanie. Nawet jeśli chcielibyśmy powiedzieć Romowi: „Hej, lubię cię, jesteś fajny”, to kompletnie nie wiemy, jak się do tego zabrać. Poza brakiem wzorców postępowania mamy w ogóle nieprzepracowaną wiedzę kulturową. Polega ona na tym, że dzieci, na przykład w szkole, dowiadują się o różnorodności świata, o mitach i obyczajach innych kultur i o tym, że wszystkie są równoprawne. I wreszcie kompletnie brakuje polityk

integracji, chociażby rozwiązań prawnych dotyczących imigrantów czy mniejszości.

W raporcie „Cyganie i Polacy w Mławie - konflikt etniczny czy społeczny?”, który powstał na podstawie badań pani i Jana Poleszczuka zaraz po rozruchach, piszecie, że takie miasto jak Mława samo sobie z tym nie poradzi, nie zbuduje kosztownego programu integracji różnych grup. Teraz chyba jest łatwiej niż wtedy?

- W działaniach oddolnych jakoś sobie radzimy, zwłaszcza w miejscowościach, gdzie nie ma Innego. Natomiast - i to jest w Polsce nagminne - ludzie, którzy chcą robić coś fajnego, muszą działać w szarej strefie albo przy okazji „na doczepkę” do innych aktywności. Choć widać, że ludzie się jednak zmieniają, to w dalszym ciągu brakuje legitymizacji czy wręcz konsekracji takich starań. Mówię o konsekracji, bo chodzi też o ich zaakceptowanie na szczycie kościelnej hierarchii, ponieważ często chodzi o problem odmienności wyznaniowej czy religijnej. To się nie zmieniło, wystarczy poczytać badania prowadzone nie tylko wśród Romów, ale też wśród różnych nacji żyjących w Polsce. Są przerażające.

W Mławie nie było oczyszczenia, dlatego jest zapominanie - z obu stron - napisaliście w raporcie. Często słyszałam: żyjemy dniem codziennym, po co do tego wracać. A także: niech się już pani tym nie zajmuje, tak będzie lepiej dla wszystkich. Jak Mława mogła się oczyścić?

- W prosty sposób: poprzez umiejętnie moderowaną rozmowę, upowszechnianie, na przykład w szkołach, wiedzy o przeszłości czy sposobie życia Romów, o tym, jakie są i skąd wynikają mechanizmy ich zachowań. Nie ma lepszego sposobu.

Na takie lekcje czy spotkania można by było zapraszać psychologów, cyganologów, nawiązać współpracę na przykład ze Stowarzyszeniem Romów w Polsce. Po konflikcie należało wykorzystać mediatorów. Wtedy brakowało mediatorów zawodowych, ale do spotkań i rozmów można było zaprosić osoby cieszące się autorytetem wśród Polaków i Romów, i wykorzystać romskich duszpasterzy. Takie spotkania obu stronom pokazałyby skomplikowane przyczyny konfliktu, wyjaśniłyby emocje, zaprezentowałyby odmienny punkt widzenia, pozwoliłyby wejść w cudze buty, ale nigdy się nie odbyły.

W Mławie rozpoczęła się komedia nieporozumień. Na przykład Polacy mieli do Cyganów pretensje, że nie idą do wojska (a w świetle wypadku, w którym zginął młody żołnierz, te oskarżenia nabrały jeszcze większej mocy). Ale wojskowi w mławskiej jednostce powiedzieli nam: „Rany Boskie, cygański chłopak w wojsku? Przecież od razu zamęczyliby go na śmierć!”. To samo dotyczy zarzutu, że dzieci romskie nie chodzą do szkoły. Ludzie nie mieli i nadal nie mają pojęcia, jak trudno w szkole jest takiemu dziecku.

Firma Procter&Gamble zrobiła kiedyś wspaniałą kampanię, która pozwalała dorosłemu zobaczyć, jak dziecko się czuje w „dużym” świecie: zastosowali prosty zabieg - wielkie kanapy i krzesła, na które strasznie trudno się wdrapać. Tak naprawdę to jest ćwiczenie z empatii, okropnie ich nam brakuje. Gdy byłam dzieckiem, w moim domu ciągle się mówiło: „postaw się na jego miejscu”, „wyobraź sobie, co on czuje”. To była nieustanna zachęta do postawienia się w roli drugiej osoby.

Anna Giza-Poleszczuk

Doktor habilitowana,
socjolożka. Kierownik
Pracowni Badań nad
Kapitałem Społecznym
w Instytucie Socjologii
Uniwersytetu
Warszawskiego. Specjalistka
w dziedzinie kapitału
społecznego, zagadnień
rodziny w perspektywie
interdyscyplinarnej,
socjologii ewolucyjnej,
marketingu w perspektywie
socjologicznej.

W latach 1994-2005
pracowała w największych
polskich firmach jako ekspert
w dziedzinie badań
rynkowych, marketingu
i komunikacji. Działa na
rzecz zbliżenia nauki i
praktyki, a w szczególności -
zwiększenia publicznej
wiedzy o kwestiach
społecznych.

W sferze teorii zajmuje się
historią i współczesnością
rodziny, problematyką
kapitału społecznego
i ekonomii społecznej.
W 2004 roku otrzymała
prestiżową nagrodę im.
Jana Długosza za książkę
„Przemiany więzi
społecznych” napisaną
wspólnie z prof. Mirą
Marody.

Od maja 2012 pełni funkcję
prorektora Uniwersytetu
Warszawskiego ds. rozwoju
i polityki finansowej.

“
Cyganów
określono jako
ofiary,
a mławian jako
zaślepionych
zwierzęcą
nienawiścią
i hańbiących
Polskę
”

„I tak się to rozmyło, rozeszło po kościach” - mówi ówczesny burmistrz Mławy.

- No właśnie. Ludzie niczego nie zrozumieli, nie wyciągnęli wniosków, wyparli. W Polsce w ogóle mamy ogromny problem z ujawnianiem konfliktów. Trzeba je przydusić, przyklepać, bo to wstyd, bo znaczą, że coś jest u nas nie w porządku. Ta sama zasada dotyczy zresztą naszego życia rodzinnego, co powoduje, że konflikt dojrzewa w ukryciu, a jak wybucha, to w takiej postaci, że trudno go opanować.

Wielokrotnie słyszałam od mieszkańców, że trzeba pamiętać przede wszystkim o tym, co zmywa z Mławy odium zapyziałego, ksenofobicznego miejsca, „gdzie Cyganów biją”. Lepiej więc pamiętać, że Mława to miasto z pięknymi przedwojennymi tradycjami współżycia wielu kultur, że pod Mławą była bitwa, która opóźniła hitlerowski atak na Warszawę i tak dalej. To piękna pamięć, tyle że kaleka.

- To nie tak, że ludzie nie pamiętają o rozruchach. Myślę, że pamiętają doskonale, ale gdyby się do tego przyznali, świadczyłoby to w ich mniemaniu, że są winni. Ci, którzy widzieli grabieże, cały czas się usprawiedliwiają, mówią to, co pozwala im się wybielić: „Cyganie się nagrabil, Cyganie się panoszyli, a więc zasłużyli na to, co ich spotkało”. Romowie równie prosto definiują przyczynę agresji: biedni Polacy napadli na bogatych Cyganów. Tymczasem nie była to prosta zazdrość, lecz kumulacja kilku przyczyn. Konflikt z Cyganami zdefiniowano od początku i jednoznacznie w kategoriach czysto etnicznych, a nie społecznych. Cyganów określono jako ofiary, a mławian jako „zaslepionych zwierzęcą nienawiścią” i hańbiących Polskę. Nikt nie pokusił się o głębsze wyjaśnienie problemu, zastępowano je ocenami moralnymi. To uruchomiło takie mechanizmy psychologiczne, które utrudniły rzeczową dyskusję i uznanie winy. Obie strony objaśniały sobie konflikt odmiennie, co blokowało porozumienie i nie mogło stanowić wyjścia do dobrych, opartych na wzajemnym zrozumieniu relacji.

Spytałam uczniów mławskiego liceum, co rodzice opowiadali im o wydarzeniach. Młodzież słyszała przede wszystkim o cygańskim bogactwie, uzyskanym w niejasny sposób. Same stereotypy. Nie ma nikogo, kto opowiedziałby im o tym inaczej. Jednocześnie deklarują, że gej, lesbijka czy Cygan są tacy sami jak oni.

- Nie wiem, czy stwierdzenie, że każdy Inny jest taki jak ja, świadczy o autentycznych przeżyciach. Gdzie tych Innych mieliby spotykać? Trzeba aranżować takie sytuacje. Gdyby Cyganie uczyli Polaków tańczyć, gdyby zaprosić ich do polskiego zespołu muzycznego, zorganizować wspólne zawody sportowe... Sport jest wspaniałym sposobem integracji, świetnie sprawdza się na przykład w Norwegii. Kiedy dyrektor mławskiego liceum mówi, że same programy integracyjne nic nie dają, to ma rację. Integrację trzeba testować w konkretnych sytuacjach, żeby zdanie „są tacy jak ja” nabrało sensu. Wydarzenia w Mławie mogły być zaczynem nowego sposobu myślenia i działania. Nie były i moim zdaniem, niestety, nie będą.

Jolanta Koral

Co wolno MUZUŁMANCE?

☸ Europejczycy między rewolucją francuską a szariatem

Piotr Turek

W 2007 roku sąd we Frankfurcie nad Menem odmówił udzielenia natychmiastowego rozvodu muzułmance bitej przez męża, a decyzję swoją uzasadnił tym, że Koran nie potępia tego rodzaju traktowania. Sędzia stwierdziła m.in., że małżonkowie pobrali się zgodnie z prawem islamskim oraz że w małżeństwach arabskich nie jest rzadkością, że mężczyzna wykonuje swoje prawo karania żony. Decyzja wywołała głosy oburzenia w Niemczech i za granicą, a sędzię wyłączono od prowadzenia sprawy. Stało się tak m.in. dlatego, że nastąpiło pogwałcenie zasady równości wobec prawa. Muzułmance odmówiono skorzystania z powszechnie obowiązującego prawa z tego właśnie powodu, że była muzułmanką.

Gdy prawo Republiki nie zgadza się z obyczajem

Chociaż postulat równości wobec prawa i jednakowego prawa dla wszystkich jest kuszący, to już Arystoteles zaobserwował, że prawo jest głęboko niesprawiedliwe z tego właśnie powodu, że jest powszechne. Sprawiedliwość doskonała winna oddać każdemu, co mu się należy i nie ograniczać się jedynie do formułowania jednego reżimu dla wszystkich. I rzeczywiście, praktyka dowodzi, że sędziowie starają się, z gorszym lub lepszym skutkiem, uwzględnić przy stosowaniu prawa specyfikę religijno-kulturową pod sądnych.



Mława, czerwiec 1991.
Romska rodzina rozmawia
z policjantami.
Fot. Jerzy Szczepny/Agencja Gazeta

W 2008 roku sąd w Lille we Francji unieważnił małżeństwo pary pochodzenia marokańskiego, gdy mąż odkrył, że jego żona - wbrew wcześniejszym zapewnieniom - nie jest dziewicą. Ten stan faktyczny sąd zakwalifikował jako „błąd co do istotnych cech małżonka”, co stanowi jedną z podstaw unieważnienia małżeństwa w świetle francuskiego kodeksu cywilnego. Decyzja sądu spotkała się z niejednoznacznym przyjęciem. Ostatecznie wobec zmasowanej krytyki, zarzucającej m.in. naruszenie zasady świeckości państwa i podporządkowanie praw Republiki prawu zwyczajowemu, prokuratura na polecenie ministra sprawiedliwości wniosła apelację, a sąd odwoławczy uchylił orzeczenie I instancji. W świetle prawa małżeństwo trwa więc nadal.

Nie przypadkiem powyższe przykłady dotyczą muzułmanów. Wystarczy przypomnieć, że chodzi o olbrzymią liczebnie mniejszość zamieszkującą kontynent europejski, wyznającą religię, która zawiera system surowych

nakazów i zakazów regulujących życie jednostek i życie społeczne, a więc w istocie odrębny system prawny, wywodzący się od plemion koczowniczych zaludniających pustynie Półwyspu Arabskiego. Skoro muzułmanie, żyjąc w Europie, chcą pozostać wierni swojej nieeuropejskiej religii i swojemu nieeuropejskiemu prawu, to konflikty z prawem krajów europejskich, opartym na tradycji prawa rzymskiego, racjonalizmu, chrześcijaństwa i praw człowieka, wydają się nieuniknione.

Gdy mąż oddala żonę

Przykładem jest kwestia uznania skutków oddalenia żony przez męża, co w prawie islamskim stanowi sposób rozwiązania małżeństwa w formie jednostronnego oświadczenia. Sądy francuskie długo uznawały oddalenie za skuteczne, jeżeli zostało dokonane w kraju, gdzie prawo przewiduje taką formę „rozvodu”. Podejście to spotkało się z krytyką, albowiem podkreślano, że nawet w krajach muzułmańskich, np. w Tunezji, coraz częściej uznaje się oddalenie za instytucję prawa religijnego (szariatu), sprzeczną z międzynarodowymi standardami ochrony praw człowieka. Dlatego w ostatnim czasie orzecznictwo francuskich sądów uległo zasadniczej ewolucji i odmawia uznania skutków oddalenia żony, powołując się m.in. na ich sprzeczność z zasadą równości kobiet i mężczyzn.

Jak więc widać, wysiłki sądów zmierzające do uwzględnienia specyfiki kulturowej i religijnej mniejszości, z reguły zgodnie z wolą przedstawicieli tych mniejszości, spotykają się ze sprzeciwem opinii publicznej, która nie zgadza się na odstępstwa od norm, na których ufundowane są społeczeństwa zachodnie.

Ale przecież najbardziej nawet nowoczesne państwa decydują się na ustępstwa wobec określonych grup mniejszościowych. I tak np. w Stanach Zjednoczonych plemiona indiańskie dysponują na obszarach rezerwatów, niejednokrotnie bardzo dużych powierzchniowo, suwerenną władzą, co daje im możliwość regulowania postępowania osób w sposób odmienny niż w prawie stanowym czy federalnym. W Izraelu ortodoksyjni Żydzi zwolnieni są - co wydaje się na pierwszy rzut oka paradoksalne w kraju stale zagrożonym wojną - od służby wojskowej ze względów religijnych. Także w krajach europejskich ukształtował się konsensus przyznający prawo do zastępczej służby wojskowej osobom odmawiającym noszenia broni z powodów religijnych, moralnych lub etycznych; stanowi to wyjście naprzód oczekiwaniom takich grup jak np. świadkowie Jehowy. Czasami jednak ustępstwa na rzecz mniejszości przyjmują postać nie przepisów prawa, ale tolerowania określonych faktów. W Hiszpanii na przykład przyznawano świadczenia rodzinne Romom, mimo że chodziło o osoby formalnie niebędące małżonkami, albowiem poślubione według obrządku rzymskiego, którego państwo nie uznaje.

Gdy Sami chce hodować renifery

Często jednak grupy mniejszościowe nie znajdują poszanowania dla swoich odrębności u władz państwowych i poszukują ochrony na poziomie międzynarodowym. Najdogodniejszą podstawą prawną umożliwiającą przyznanie takiej ochrony wydaje się art. 27 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, stwierdzający: „W Państwach, w których istnieją mniejszości etniczne, religijne lub językowe, osoby należące do tych

mniejszości nie mogą być pozbawione prawa do własnego życia kulturalnego, wyznawania i praktykowania własnej religii oraz posługiwania się własnym językiem wraz z innymi członkami danej grupy”.

Komitet Praw Człowieka ONZ wydał szereg decyzji, w których uznał, że określone zwyczajowe rodzaje aktywności mniejszości etnicznych chronione są przez art. 27 Paktu. Tak stało się choćby w sprawie Ivan Kitok przeciwko Szwecji, gdy Komitet uznał, że hodowanie reniferów stanowi istotny element kultury skarżącego jako przedstawiciela grupy etnicznej Sami (Lapończyków). Takie stwierdzenie pozbawione było jednak praktycznych korzyści dla skarżącego, ponieważ Komitet orzekł jednocześnie, że prawo szwedzkie ograniczające wykonywanie takiej aktywności nie było niezgodne z art. 27. Z kolei w sprawie Lubicon Lake Band przeciwko Kanadzie Komitet stwierdził, że sprzedanie przez władze firmie wydobywającej surowce terenów, na których plemię skarżącego od niepamiętnych czasów żyło, polowało i łowiło ryby, stanowiło zagrożenie dla jego sposobu życia i kultury i naruszało art. 27.

Chociaż Europejska Konwencja Praw Człowieka nie zawiera uregulowania analogicznego do art. 27 Paktu, to jednak również i Europejski Trybunał Praw Człowieka badał podobne skargi, na przykład na gruncie prawa do ochrony życia prywatnego czy wolności religijnej. Trybunał stwierdził, że w krajach europejskich wyłania się międzynarodowy kompromis na rzecz uznania szczególnych potrzeb mniejszości i obowiązku ochrony ich tożsamości i sposobu życia, co wynika m.in. z potrzeby ochrony różnorodności kulturowej, która jest pożyteczna dla społeczeństwa jako całości.

W praktyce jednak Trybunał nie podważył w istotny sposób prawa krajów członkowskich na korzyść prawa zwyczajowego mniejszości etnicznych. Na przykład w sprawie Cha'are Shalom Ve Tsedek przeciwko Francji stwierdził, że odmowa udzielenia zezwolenia na szczególną formę uboju rytualnego nie stanowi ingerencji w prawo do wolności religijnej skarżących, grupy ultraortodoksyjnych Żydów, nawet jeżeli spożywanie mięsa pochodzącego z takiego uboju stanowi istotny składnik ich tożsamości religijnej.

Gdy odrębność stanowi pułapkę

Kończąc rozważania nad prawem mniejszości do kultywowania swoich norm zwyczajowych, należy jednak zwrócić uwagę, że teorie wielokulturowości, głoszące potrzebę uznania we współczesnym społeczeństwie prawa do odrębności, zawierają w sobie również pułapkę. Troska bowiem o zachowanie pierwotnej tożsamości kulturowej prowadzić może do uwięzienia jednostki w jej z góry narzuconym statusie prawnym, wywodzącym się często z bardzo odległych epok i pod wieloma względami archaicznym. Rodzi się więc ryzyko, że tak rozumiana wielokulturowość doprowadzić może do utworzenia swego rodzaju prawnych gett, w których wolność człowieka traci znaczenie na rzecz nakazów i zakazów narzuconych przez określoną wspólnotę.

Piotr Turek

Przy pracy nad tekstem wykorzystałem m.in. artykuły M.-C. Najm, Le sort des répudiations musulmanes dans l'ordre juridique français. Droit et idéologie(s) ; oraz A. P. Valerga, Le droit comme lieu de rencontre entre le communautarisme et le libéralisme (Droit et Cultures, nr 59/2010 i 62/2011)

Dwóch osobników NARODOWOŚCI CYGAŃSKIEJ...

Wątki etniczne w procesach
sądowych o gwałt

Agnieszka Kościańska

Co się dzieje, kiedy w Polsce dochodzi do gwałtu? Jak organa ścigania i sądy radzą sobie z przestępstwem zgwałcenia? Z badań prawników i socjologów, a także z monitoringu prowadzonego przez instytucje pomagające ofiarom wyłaniają się dwa scenariusze. Zgodnie z pierwszym - pokrzywdzona nie zgłasza tego faktu na policję. Osoby pracujące z ofiarami - psychologzy, przedstawiciele organizacji pozarządowych - dodają tutaj, że kobiety często mają głęboko uwewnętrznione stereotypy na temat przemocy seksualnej. Są przekonane, że sprowokowały sytuację, że niewłaściwie się zachowywały, wstydzą się tego, co się stało. Takie przypadki to większość - 80, a może nawet 90 procent.

Istnieje jednak drugi scenariusz.

Kobieta zgłasza się na policję, rusza śledczo-sądowa machina: badania lekarskie, śledztwo, przesłuchania, rozprawa. Choć czasami dzieje się inaczej, zwykle na wszystkich tych etapach ofiary spotykają się z różnymi formami złego traktowania. Na przykład, żeby pobrać przydatny potem materiał biologiczny, ofiara po wymuszonym, często bardzo brutalnym seksie nie może się umyć, dopóki nie zbada jej ginekolog; zdarza się, że spędza całe godziny, czekając na obdukcję. Zanim pokrzywdzona w asyście policji uda się do szpitala, jest przesłuchiwana. Policjanci, mimo że odbywają szkolenia przygotowujące ich do postępowania w takiej sytuacji, nierzadko pozwalają



1991. Niszczenie romskich domów w Mławie zawsze zaczynało się od wybijania szyb.
Fot. Jerzy Szczęsny/Agencja Gazeta

☸ Tylko niektóre kobiety zasługują na ochronę, niektórym sprawcom szczególnie należy się kara ☸ Tylko niektóre kobiety zasługują na ochronę, niektórym sprawcom szczególnie należy się kara. Etnicznie obcy nie kontrolują pożądań

sobie na niewybredne komentarze i żarty. Inni są po prostu niekompetentni. Pewien funkcjonariusz odesłał ofiarę do domu: „Pani się umyje, wyśpi, przyjdzie rano”. Bardzo jej współczuł, nie chciał, żeby spędzała całą noc w szpitalu i na komendzie, ale dowody w tej sprawie zostały bezpowrotnie utracone.

Na policji ofiara musi też złożyć wnioszek o ściganie. W przypadku ciężkich przestępstw, takich jak pobicie czy zabójstwo, a także wielu nie bardzo ciężkich, np. rozpijanie małoletniego, sprawców ściga się z urzędu. Gwałt jest tutaj wyjątkiem. Jeśli ofiara złoży wniosek, zaczyna się ustalanie tego, co się wydarzyło, przesłuchiwanie świadków i pokrzywdzonej. Gdy dowody są wystarczające, prokurator formułuje akt oskarżenia. Zaczyna się trwająca niekiedy latami rozprawa. W całym tym procesie ofiara wielokrotnie opowiada o tym, co się stało, tłumaczy się ze swojego zachowania, poddawana jest badaniom ginekologicznym, psychologicznym, psychiatrycznym, czasem seksuologicznym. Odpowiada na pytania dotyczące jej życia intymnego zadawane często w niewybredny sposób (zgodnie ze stereotypową logiką pojawiającą się w procesach: skoro już raz uprawiała seks, to nie można jej zgwałcić), przychodzi do sądu na wiecznie odraczane rozprawy (w przeciwnym razie sędzia może ukarać ją niemałą grzywną). Sprawcy, za radą adwokatów, starają się prezentować jako pokrzywdzeni przez życie chłopcy, którzy nie wiedzieli, że ona nie chciała, i słyszeli, że była „puszczalska”, co często przekonuje sędziów. A nawet jeśli nie - wyroki są z reguły niskie.

Warto jednak dodać, że sytuacja się zmienia. Liczne stereotypy widoczne w myśleniu o gwałcie coraz częściej są poddawane krytyce zarówno w mediach, jak i w sądzie (informacje na temat sytuacji ofiar, rozwiązań prawnych i przebiegu procesów pochodzą z moich badań [analiza akt i prasy, wywiady z ekspertami] oraz z Płatek 2005, Piotrowska, Synakiewicz 2011, Zadumińska 2006, zob. też Kościańska 2012).

Zdarzają się jednak odstępstwa od zaprezentowanego wyżej „standardowego” modelu rozprawy. Bywają sytuacje, kiedy podejrzanych ocenia się wyjątkowo surowo albo kiedy poszkodowaną pozbawia się resztek wiarygodności i godności. Chodzi o przypadki, w których pojawia się „wątek etniczny”, czyli gdy sprawcy lub ofiary są obcy pod względem etnicznym. Historie Ukrainki, Białorusina, córki aktywisty, przedstawiciela mniejszości etnicznej i dwóch Romów posłużą za przykłady tego, jak różnice etniczne ustawiają proces sądowy, odmawiając pewnemu typowi osób prawa do uczciwego procesu. Owi „obcy” jawią się w tych sprawach jako ludzie pozbawieni umiejętności kontrolowania seksualności, a to, jak opisuje się ich w aktach, przypomina XIX-wieczne materiały analizowane przez historyka George’a Mosse’a (1985). Mosse dowodził, że wyobrażenia na temat seksualności innych stanowią jądro nowoczesnego rasizmu. W omawianych tu procesach sądowych etniczność zastępuje rasę.

Prezentowane materiały pochodzą z sądu wojewódzkiego przemianowanego w latach 90. XX wieku na okręgowy w pewnym polskim mieście. Nie podaję jego nazwy, żeby zachować anonimowość osób, o których mowa. Do tego typu sądów trafiają sprawy cięższe, czyli w przypadku gwałtów - zbiorowe i ze szczególnym okrucieństwem. Szczegółowo przeanalizowałam 30 spraw z okresu od 1981 roku do dziś, po dziesięć z każdej dekady. W czterech przypadkach pojawił się ów wątek etniczny. Moje badania nie dają wglądu

Dr Agnieszka Kościańska

Pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego.

Jest współredaktorką zbiorów „Kobiety i religie” (z Katarzyną Leszczyńską, Zakład Wydawniczy „Nomos”, 2006) i „Gender. Perspektywa antropologiczna” (z Renatą E. Hryciuk, WUW, 2007) oraz autorką książki „Potęga ciszy. Konwersja a rekonstrukcja porządku płci na przykładzie nowego ruchu religijnego Brahma Kumaris” (WUW, 2009).

w kwestie ilościowe, jest to analiza jakościowa. Koncentruję się na tym, jak traktuje się osoby „obce” i pokazuję proces sądowy jako mechanizm wyobcowujący.

Przyjrzyjmy się najpierw dwóm sprawom z pierwszej połowy lat 80. Wydarzenia, których dotyczą, mają podobny przebieg. W obu przypadkach grupa młodych mężczyzn (w pierwszym trzech, a w drugim czterech) wciąga dziewczynę do samochodu. Jadą w odludne miejsce. Tam dochodzi do gwałtu. Dziewczyny próbują się bronić, płaczą... Z czasem ich sprzeciw słabnie - chcą, żeby jak najszybciej się to skończyło. Kiedy sprawy trafiają do sądu, nikt nie zaprzecza, że doszło do współżycia; pokrzywdzone i oskarżeni przytaczają dość podobne wersje wydarzeń.

Przedmiotem sporu jest zgoda na seks.

W pierwszej ze spraw dwaj z trzech oskarżanych to - jak czytamy w aktach - „osobnicy narodowości cygańskiej”. Pierwszy przyznaje, że uprawiał seks z pokrzywdzoną, ale wyjaśnia: „Nie przypominam sobie, by płakała i aby któryś z nas ją uderzył”. „Nie wyrywała się, sama się rozebrała - mówi dalej”. Drugi tak się tłumaczy: „Proponowałem jej odbycie stosunku płciowego. Ona początkowo nie chciała, ale później powiedziała, że nie chce przy wszystkich w samochodzie. Powiedziałem jej wówczas, że powiem, aby chłopaki wysiedli. Ona zgodziła się, tylko powiedziała, że nie od razu, bo będą domyślać się, o co chodzi, (...) nie stawiała żadnego oporu, nie płakała”. Wyrok - 4 i 3 lata pozbawienia wolności. Adwokaci wnoszą rewizję, ale Sąd Najwyższy utrzymuje go w mocy, choć prawnicy podkreślają, że pokrzywdzona zgłosiła się na policję dopiero 9 miesięcy po wydarzeniu, na kilka dni przed porodem. Okoliczność tego typu w innych sprawach zdecydowanie podważałaby jej wiarygodność - można by podejrzewać, że np. chciała w ten sposób wytłumaczyć się przed rodziną z nieślubnego dziecka. Cały proces odbył się wyjątkowo szybko. Kobieta zgłosiła się na milicję w marcu 1984 roku, a w listopadzie 1985 roku Sąd Najwyższy utrzymał wyrok w mocy, podczas gdy niektóre sprawy ciągną się nawet 10 lat.

W drugiej sprawie to poszkodowana jest obca etnicznie, a jej ojciec to znany aktywista swojej mniejszości. Do zdarzenia doszło w tym samym roku. Prokurator całego zajścia tak tłumaczył się w sądzie: „Znam ją z tego, że kiedyś odbyłem z nią dobrowolny grupowy stosunek [pokrzywdzona twierdzi, że to też był gwałt - przyp. A.K.]. Wiedziałem, że ona to robi. (...) Miałam opinię dziewczyny lekkiego prowadzenia się (...). Wziąłem ją jedynie na prośbę kolegów”. Kiedy zatrzymują się w lesie - relacjonuje oskarżony - ona dobrowolnie się rozbiera, obejmuje go i całuje, prosi o stosunek. On też się rozbiera, ale jak twierdzi - z powodu gorąca (niczych wątpliwości nie budzi fakt, że wszystko dzieje się na początku kwietnia, późnym wieczorem w lesie). On stosunku nie chciał, bo był zmęczony, „ale koledzy chętnie, więc powiedziała, żeby przyprowadzić tego w czarnej kurtce, zawołała go, po kolei ich wołała, była uśmiechnięta, wracali, była zadowolona, śmiała się. (...) Sądzę, że pokrzywdzona oskarżyła mnie dlatego, że ja nie chciałem się z nią spotkać i powiedziałem, że opowiem o całym zdarzeniu wszystkim znajomym. Ona kłamała. Nie miało miejsca podczas zdarzenia wykręcanie rąk ani groźby”.

W podobnym duchu zeznają inni młodzi mężczyźni. W końcu zaczyna ze-

znawać pokrzywdzona, płacze, łamie jej się głos. Od jej matki dowiadujemy się, że dziewczyna była w szpitalu psychiatrycznym. Po gwałcie, którego dotyczy proces, nie mogła sobie poradzić. Poszła do poradni, stamtąd lekarz wysłał ją do szpitala. Zeznaje psychiatra - lekarka z placówki, a także powołana biegła psycholog. Wykazują sądowi, że gwałt miał katastrofalne skutki dla psychiki dziewczyny, która i tak nie była w dobrej formie w związku z sytuacją rodzinną. Podkreślają, że źródłem problemów jest obcy etnicznie ojciec. Rozprawa kończy się wyrokiem skazującym. Adwokaci przygotowują rewizję, sprawa zostaje skierowana do ponownego rozpatrzenia.

W kolejnym procesie nowi biegli mają zbadać wiarygodność pokrzywdzonej i jej seksualność. Stwierdzają, że była ona wielokrotnie hospitalizowana. Nie dostrzegają, że działo się to po gwałcie i w bezpośredniej jego konsekwencji. Uznają, że nie jest wiarygodnym świadkiem. (W wielu innych sprawach fakt terapii psychologicznej lub psychiatrycznej potwierdzał w oczach sędziów, że doszło do gwałtu). Biegły seksuolog diagnozuje nadmierny popęd seksualny („masturbowała się i nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia”). W opiniach ekspertów jej szaleństwo i pożądanie łączą się psychologicznie z postacią ojca mającego nieodpowiedni wpływ na ukształtowanie emocjonalne dziewczyny.

Po zeznaniach biegłych - nowy wyrok: uniewinnienie.

Wedle tego samego scenariusza odbyły się dwie nowsze sprawy. Obcy etnicznie sprawca (Białorusin) został skazany szybko i bez ceregieli. Do zdarzenia doszło we wrześniu 1999 roku, akt oskarżenia sformowano w lutym 2000 roku, a wyrok Sądu Apelacyjnego zapadł w czerwcu 2001 roku.

Obcą etnicznie ofiarę, Ukrainkę zmuszaną do prostytucji, brutalnie, zbiorowo zgwałconą w czasie pracy, sąd uznał za niewiarygodną. Dał wiarę tłumaczeniom oskarżonych, że obrażenia powstały, bo pijana dziewczyna upadła na potłuczone butelki. Za jednego z oskarżanych poręczył nawet proboszcz. Duchownego nie zniechęciło mało katolickie zachowanie parafianina: mężczyzna na wieczór kawalerski, w czasie którego doszło do wydarzeń będących przedmiotem rozprawy, kupił 20 butelek wódki, każda po 0,75 l, zamówił 4 dziewczyny „z agencji” i zaprosił 10 kolegów. Zeznał w sądzie, że w czasie imprezy totalnie zdemolowali ośrodek wypoczynkowy, w którym się odbywała. W sprawie o gwałt zapadł wyrok uniewinniający; jednocześnie skazano dwie osoby za zmuszanie do prostytucji.

Prokurator złożył apelację. Kiedy zaczyna się następna rozprawa, pokrzywdzona siedzi w ukraińskim więzieniu. W sądzie mówi, że jest niewinna i że została wrobiona. W kolejnej odsłonie procesu sąd znowu chce ją przesłuchać. Ale to już niemożliwe. Kobieta wyszła na wolność i w dość tajemniczych okolicznościach zmarła (zawał serca nie jest typową przyczyną zgonu 34-latki).

W sprawie tej jest więcej niewyjaśnionych kwestii. Gwałt i zmuszanie do prostytucji ujawniła polska organizacja pozarządowa; zgłosił się do niej klient pokrzywdzonej. Interweniował w sprawie Ukrainki dwukrotnie. Organom ścigania nigdy nie udało się go odnaleźć. Czy wstydził się zeznawać, co znaczyłoby publiczne przyznanie się do tego, że chodził do prostytutki?

Bibliografia

Johnson Janet Elise, 2009, Gender Violence in Russia. The Politics of Feminist Intervention, Indiana University Press.

Kościańska Agnieszka, 2012, „Nie” znaczy „tak”? Dyskurs ekspercki na temat przemocy seksualnej wobec kobiet w prasie polskiej od lat 70. XX w. do dziś, „Zeszyty Etnologii Wrocławskiej”, w druku.

Mosse George L., 1985, Nationalism and Sexuality. Respectability and Abnormal Sexuality in Modern Europe, New York, Howard Fertig.

Piotrowska Joanna, Alina Synakiewicz, red. 2011, „Dość milczenia. Przemoc seksualna wobec kobiet i problem gwałtu w Polsce”, Warszawa.

Płatek Monika, 2005, „Gwałt - przestępstwo w cieniu Temidy”, [w:] Gaudium In Litteris est. Księga jubileuszowa ofiarowana Pani Profesor Genowefie Rejman, pod red. L. Gardockiego i in., Warszawa, s. 289-307.

Vance Carole S., 2000, „Rozkosz i zagrożenie: ku polityce seksualności”, przeł. Barbara Kopeć-Umiastowska, „Biuletyn OŚKI”, nr 4, s. 47-59.

Zadumińska Beata, 2006, „Sytuacja ofiar zgwałcenia w postępowaniu przygotowawczym”. Raport z monitoringu, Kraków.

Raczej nie - sprawa toczyła się za zamkniętymi drzwiami. Może więc obawiał się czegoś innego? Zagadkowa jest też postać pewnego policjanta. Czerpanie zysków z prostytucji to w Polsce przestępstwo - agencje towarzyskie funkcjonują, ponieważ udają, że nie są domami publicznymi. Ów policjant jednak często bywał w tym przybytku rozkoszy i doskonale wiedział, co się tam dzieje. Kiedy organizacja pozarządowa złożyła zawiadomienie o przestępstwie, to właśnie on pojawił się w agencji; nie stwierdził jednak żadnych nieprawidłowości.

Wszelkie odstępstwa od odpowiedniego modelu kobiecości służą za usprawiedliwianie przemocy - dowodzi Carole Vance (2000), amerykańska antropolożka zajmująca się m.in. przemocą seksualną. Vance pisze o nie-normatywnych zachowaniach, w naszym przypadku i zgodnie z logiką Mosse’a to również nieodpowiednie pochodzenie etniczne. Ten tok myślenia można rozwinąć: tylko pewne typy sprawców zasługują na karę. W zaprezentowanych sprawach są to sprawcy „obcy etnicznie” - Białorusin i Rom, dopuszczający się gwałtu na polskich kobietach. Przedstawione tu przykłady nie są reprezentatywne, a w grę mogą też wchodzić inne czynniki, ale ilustrują one pewne mechanizmy kulturowe, które powodują, że tylko niektóre kobiety zasługują na ochronę ze strony państwa, a pewien typ sprawcy szczególnie zasługuje na karę. Mechanizmy te występują, niestety, w wielu innych kontekstach, gdzie również wątek etniczny odgrywa ważną rolę. Przychodzi na myśl głośna sprawa przedstawiciela mniejszości, który w 2003 roku w Moskwie zgwałcił Rosjanek, przykładną matkę. O ile w Rosji przemoc seksualna zwykle uchodzi płazem, o tyle w tym przypadku opinia publiczna z uwagą śledziła ten niemal pokazowy proces, domagając się surowego ukarania sprawcy (Johnson 2009, s. 84). Współczesne sprawy o gwałty potwierdzają to, co Mosse pisał o XIX-wiecznym rasizmie: „Nie-możliwość kontrolowania pożądań cechuje wszystkich obcych” (s. 134). Etnicznie obcej ofiary nie zgwałcono - ma przecież nadmierny popęd seksualny lub skłonność do używek; nie ma wątpliwości, że etnicznie obcy sprawca jest winny - nie panuje przecież nad sobą.

Materiały prezentowane w tym artykule zostały zebrane do rozprawy habilitacyjnej dzięki stypendium przyznanemu w ramach Siódmego Programu Ramowego WE (Marie Curie International Outgoing Fellowship; instytucje goszczące: Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Harvarda).

Mundur wypiera UPRZEDZENIA

☸ Rom czy nie-Rom, dwaj policjanci na patrolu
muszą liczyć na siebie, bo ryzykują własnym zdrowiem

Jerzy Celichowski

Dla wielu Węgrów „policjant” i „Rom” to słowa przeciwstawne. Jednak policjanci romscy istnieją. Nie wiadomo, ilu ich jest, prawdopodobnie około tysiąca. Statystycznie niezbyt wielu: na Węgrzech jest 45 tysięcy funkcjonariuszy, a Romowie stanowią 6-8 procent dziesięciomilionowego społeczeństwa. Kilka lat temu romscy policjanci zaczęli się organizować. Wcześniej kontaktowali się tylko nieformalnie, a niektórzy wręcz ukrywali swoje pochodzenie. Do niedawna było regułą, że kto wyrwał się z cygańskiej nędzy, przyjmował tożsamość węgierską. W ten sposób udział biednych w społeczności romskiej sztucznie się podnosił. A że istnieje związek między biedą a przestępczością, w społeczeństwie utrwał się obraz pochodzących z nizin cygańskich przestępców. Romska klasa średnia, która zmieniałaby to wyobrażenie, jeszcze nie istniała. Powstaje dopiero teraz.

Ottó Rostás wyrósł w domu dziecka i ledwo zdał egzamin gimnazjalny. Ferenc Horváth pochodzi z tokajskiej wsi, jego ojciec pracował w kamieniołomie. György Makula, syn bezrobotnych, nie miał za co pojechać na egzamin wstępny. Teraz wszyscy są policjantami.

Ottó Rostás Jedyny Cygan wśród pięciuset studentów

Rodzinie Ottó Rostása wiodło się nieźle. Ojciec handlował antykami, dobrze zarabiał. Mieszkali we własnym domu, mieli kolorowy telewizor i wideo. Ale „rodzice jakoś nie lubili” syna, który urodził się w 1976 roku. Kiedy w przedszkolu zauważono na jego ciele ślady pobicia, trafił do domu dziecka z młodszą siostrą i bratem bliźniakiem.

Dom stał nad Balatonem, miał własną plażę. Zimą były łyżwy, latem kąpiel. Pewnego dnia zajeżdżał tam radiowóz policyjny, stary żiguli. Kierowca był równiacha, na prośbę dzieci włączył syrenę i sygnał na dachu.

Ottó postanowił, że zostanie policjantem.

Po kilku latach rodzeństwo przeniesiono do placówki przy ulicy Budakeszi w Budapeszcie. To legendarne miejsce. Po wojnie sierociniec o nazwie Gaudiopolis prowadził tam pastor Gábor Stehlo, który za rządów strzałokrzyżowców, czyli węgierskich nazistów, ocalił dwa tysiące żydowskich dzieci. Ottó zagrał w filmie telewizyjnym



Ottó Rostás
Fot. Péter Korniss

upamiętniającym Gaudiopolis.

Po podstawówce bracia zaczęli się uczyć w sportowej szkole średniej na Csepelu, którą jednak po roku zamknęto. Ottó zapisał się do wieczorowego Gimnazjum im. Vörösmartyego. Miał załagłości, szło mu ciężko. Na egzaminie poprawkowym nauczycielka przepuściła go z litości. „Jak wiele zależy od takich drobiazgów. Gdybym wtedy oblał, poszedłbym do zawodówki, nie ukończyłbym gimnazjum i nie zostałbym policjantem. A tak zdałem maturę, chwalili mnie nawet, że zrobiłem największe ze wszystkich postępów”. Z całego domu dziecka tylko on uczył się w gimnazjum.

Po maturze myślał o szkole aktorskiej, ale jak ją skończyć, gdy nie ma się normalnego domu? Poszedł do policyjnej. Był jedynym Cyganem wśród prawie pięciuset studentów.

Od 1993 roku służył w oddziałach prewencji. Imprezy masowe, mecze, zamieszki... Po trzech latach przeszedł do komisariatu w metrze. Wygłaszał również pogadanki dla młodzieży o niebezpieczeństwie związanym z narkotykami, alkoholem, paleniem i AIDS. Wreszcie trafił do wydziału zapobiegania przestępczości.

W tym czasie zakaz publicznego podawania przynależności etnicznej sprawców ze względu na ochronę danych osobowych traktowano jeszcze jak świętość. Brakuje wiarygodnych informacji o liczbie przestępstw popełnianych przez Cyganów; ani wtedy, ani dziś nie prowadzi się takich statystyk. Ale badania populacji więzennych z lat 90. wykazały, że wśród skazanych na pozbawienie wolności jest od 30 do 50 procent Romów. Niższą liczbę uzyskano, gdy więźniowie sami podawali swoje pochodzenie, wyższą - gdy subiektywnie określał je badający.

Żeby ocenić skalę przestępczości wśród Romów, trzeba najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie: Jak zdecydować, kto jest, a kto nie jest Cyganem?

Podczas służby chorąży Ottó Rostás nieraz natyka się na Romów. Czasem spotkania wyglądają tak:

„Pan mnie legitymuje tylko dlatego, że jestem Cyganem!

Człowieku, nie gadaj głupot, przecież też jestem Cyganem!”.

A czasem tak:

„Pan nie jest przypadkiem Romem?

Tak.

Zabrali mi prawo jazdy, mógłby pan coś z tym zrobić?

Nie”.

Podobno policjanci-Romowie spotykają się z niechęcią społeczności, z których się wywodzą. Niekiedy uważani są nawet za zdrajców. Instrumencem ucisku, jakiemu socjalistyczne państwo poddawało Cyganów, tradycyjnie była policja. Ottó Rostás jakoś sobie radzi. Mieszka z partnerką w małej służbowce i marzy o własnym mieszkaniu.

Ferenc Horváth Gadatliwy, pogodny, potrafi rozładować napięcie

Ferenc Horváth czekał na pociąg na dworcu. Wy-legitymowali go policjanci. „Cygan i do gimnaz-jum chodzi?” - ironicznie parsknął jeden z nich. Chłopak postanowił, że kiedy sam zostanie poli-cjantem, to nie będzie taki jak oni.

Ferenc urodził się w 1966 roku, za Kadara. A ka-darowska kryminalistyka rozróżniała specjalne kategorie przestępstw dokonywanych przez Cy-ganów. Sprzedaż przedmiotów z miedzi jako złoty-ch, oszukańcze sztuczki, kieszonkowstwo, kra-dzieże z wtargnięciem podstępem do mieszkań itd. Gromadzono statystyki dotyczące pochodze-nia etnicznego sprawców i prowadzono badania na ten temat.

Jednak w policji pracowało dwóch wujków Fe-rencza. Kiedyś do jego szkoły przyjechał funkcyj-nariusz, żeby namówić uczniów do wstępowania w szeregi policji. Większej zachęty nie było mu trzeba.

Horváth pochodzi ze wsi Tarcal w regionie to-kajskim. Jego ojciec był maszynistą, obsługiwał kolejkę w miejscowym kamieniołomie. Pracował też jako dekarz, zakładał rynny w okolicznych wioskach. Przejmował się nauką syna. Gdy Fe-renc kończył podstawówkę, ojciec zapytał dyrek-tora szkoły, które gimnazjum jest trudniejsze: to w Tokaju czy to w Szerencsu? I Ferenc trafił do Szerencsu, bo więcej tam wymagali.

Do policji wstąpił w 1985 roku - po maturze i trzymiesięcznej służbie wojskowej. Rok później był już funkcjonariuszem w dzielnicy Kőbánya w Budapeszcie. Przesłużył tam dziesięć lat, w międzyczasie skończył policyjną podchorążówkę. Na interwencje do osiedla Pongrácz, jednej z naj-gorszych części dzielnicy, posyłano często właśnie jego. Gadatliwy i pogodny, potrafił rozładować napięcie. Umiał też znaleźć wspólny język z Cy-ganami, i to dosłownie - zna trochę dialekt Lo-

warów. Kiedy w obecności policjantów Romowie zaczęli gadać po cygańsku, Ferenc zwrócił się do nich w romani: „Bracia, mówcie raczej po węgiersku, żeby i mój kolega was rozumiał”.

W 2002 roku Horváth ukończył prawo. Po rocz-nym kursie dostał nominację oficerską. Mówi, że studia pomogły mu wywalczyć dla siebie i ko-legów wyrównanie do pensji; wcześniej go nie dostawali. Piął się po szczeblach kariery policyj-nej. Najpierw komenda budapeszteńska, potem główna, gdzie pod jego kierownictwem praco-wało dwa tysiące funkcjonariuszy.

W 2005 roku założył Krajowe Stowarzyszenie Romskich Policjantów. Węgry właśnie wstąpiły do Unii. Władze zachęcały go do działania, bo uznały, że taka organizacja przyda się w policji. Szybko się jednak okazało, że czego innego oczeki-wali przełożeni Ferencza, czego innego on sam. Gdy w 2006 roku opinia publiczna dowiedziała się o antycygańskich wpisach na wewnętrznym forum policyjnym, stowarzyszenie wystąpiło przeciwko karaniu autorów. I zaproponowało, by przeszli szkolenie, które pomoże im wejść w skórę mniejszości. Poprowadzić je miał Gábor Iványi, szanowany pastor i działacz społeczny. Ale zamiast niego zrobili to emerytowani nau-czyciele szkoły policyjnej, co napełniło działaczy niesmakiem.

Szybko pojawiła się też wewnętrzna różnica po-glądów. Horváth chciał, by stowarzyszenie stało się pomostem między policją a społeczeństwem, więc pragnął je otworzyć także dla cywilów. Niektórzy koledzy uważali jednak, że członkami mogą być wyłącznie pracownicy służb mundu-rowych. Doszło do rozłamu.



Ferenc Horváth w swoim biurze.

Fot. Barakonyi Szabolcs

Tymczasem rosło napięcie między Cyganami a nie-Cyganami. Osiągnęło szczyt w latach 2008-2009, gdy nocami grasowała skrajnie prawicowa banda z Debreczyna. Gang napadał na domy cygańskie w wioskach. Doszło do dziesięciu ataków z bronią palną, śmierć poniosło sześć osób, w tym dzieci. Teraz trwa proces bandytów.

Pogrzeb ofiar odbył się w Tatárszentgyörgy w lu-tym 2009 roku. Ochotniczą służbę porządkową pełnił wówczas dwudziestu pięciu członków sto-warzyszenia. Obecna na miejscu policja z wdzięcznością przyjęła pomoc romskich ochot-ników ubranych w odblaskowe kamizelki z nazwą organizacji. Wielotysięczny tłum bez szemrania stosował się do ich wezwań.

Członkowie stowarzyszenia jeździli po całych Węgrzech z wykładami profilaktycznymi; zapra-szano ich zwłaszcza do miejsc, gdzie mieszka wielu Cyganów. Działacze zachęcali młodych Ro-mów do pracy w resorcie. Wymyślili służbę wstępną - jeszcze przed ukończeniem gimnazjum - by ułatwić kwalifikację do szkoły policyjnej. Na Węgrzech przerwa między nauką w obu szkołach trwa rok.

Ferenc Horváth jest jednak sfrustrowany. Co z tego, że wciąż dostają mnóstwo zaproszeń, że lu-dzie chcą, by przyjeżdżali z wykładami? Państwo nie wspiera stowarzyszenia, brakuje pieniędzy na działalność.

- Tyle mówi się o polityce integracji, ale nikt nas nie słucha i ciągle mamy pod wiatr - narzeka Horváth.

Uważa, że stowarzyszenie należałoby rozwiązać. Jeszcze niedawno w czwartej dzielnicy Buda-pesztu społecznicy prowadzili świetlicę dla rom-skich dzieci ulicy. Zabrali je na obóz. Ale pienią-dze się skończyły i szyld świetlicy trzeba było zdjąć. Dzieci patrzyły i płakały.

György Makula

Nie udałoby się bez Sorosa

Niewiele zapowiadało, że György Makula obejmie funkcję rzecznika prasowego i w nowoczesnym biurze „pałacu policji” dostanie gabinet z widokiem. Urodził się w Jászkisér w środkowych Węgrzech w 1979 roku. Dorastał w bardzo biednej rodzinie. Po upadku socjalizmu panowało bezrobocie, żadne z rodziców nie miało pracy, ale jak mogli zachęcali syna do nauki.

György dojeżdżał do gimnazjum w Jászapáti, co łączyło się z wydatkami. Na szczęście dostawał stypendium państwowe dla uczniów cygańskich, a także stypendium Sorosa. Często powtarza: - Wszystkim mówię, że bez Sorosa nie byłoby mnie tutaj.

Otaczał go sceptycyzm. Czy młody Cygan naprawdę sobie poradzi?

Uważa, że na sukces złożyły się: własny trud, zachęta rodziców, pomoc finansowa.

György wiedział, że pójść może tylko w takim kierunku, który od razu zapewni mu utrzymanie. Zdecydował się na policję.

Examinacje wstępne składały się z kilku etapów: kondycja fizyczna, testy psychologiczne, sprawdziany z kilku przedmiotów. Makula nie miał pieniędzy na bilety kolejowe, cała rodzina się na nie zrzuciła.

Po szkole György pracował w budapeszteńskiej komendzie, ale ciągnęło go, żeby robić coś dla młodych Romów. Zaczął szukać kontaktu z policjantami cygańskiego pochodzenia. - Zagadnałem kolegę, sądziłem, że jest Romem. A on, że sobie wyprasza.

Stowarzyszenie Horvátha jeszcze nie istniało.

W 2005 roku Makula pojechał do Stanów w ramach programu International Visitor. - Zaintrygowało mnie tam Krajowe Stowarzyszenie Czarnych Policjantów (National Black Police Association). Na Węgrzech nie mieliśmy czegoś podobnego.

Po powrocie próbował się dogadać z Ferencem Horváthem, ale nie wyszło. W jego stowarzyszeniu znalazł się wśród rozłamowców. Założył własną organizację: Europejskie Stowarzyszenie Romskich Pracowników Służb Mundurowych

zrzeszające funkcjonariuszy z kilku krajów.

Stosunki Węgrów z cygańską mniejszością były wówczas niesłychanie napięte. W październiku 2007 roku w wiosce Olaszliszka nauczyciel geografii Lajos Szoegei niegroźnie potrącił samochodem romską dziewczynkę, która nagle wbiegła na jezdnię. Doszło do przerażającego linczu: miejscowi Cyganie załuskali kierowcę na oczach jego dzieci. A nazwa Olaszliszka stała się symbolem. Zakurzone hasła socjalistycznej kryminalistyki podjęła skrajna prawica. Nagłaśniała odtąd wszystkie przypadki przestępstw, w których - według niej - uczestniczyli Cyganie. Specjalną rolę odegrał ekstremistyczny portal kuruc.info z działem poświęconym „przestępczości cygańskiej” („przestępczością żydowską” też się zajmują).

W 2007 roku ultrapravicowa partia polityczna Jobbik powołała bojówkę - Gwardię Węgierską (Magyar Gárda) - do ochrony przed „cygańskimi przestępcami”. Paramilitarna organizacja wizualnie nawiązywała do strzałokrzyżowców: czarne mundury z pasiastymi emblematami Arpadów były podobne do mundurów węgierskich nazistów z lat 30. Ceremonii zaprzysiężenia nowych członków (asystowało w niej kilkuset policjantów) towarzyszyły w Budapeszcie protesty antyfaszystów i mniejszości. Premier Ferenc Gyurcsányi polecił więc prokuratorowi generalnemu, by czuwał nad sytuacją i wkraczał, jeśli pojawi się groźba naruszenia konstytucji. Ostatecznie Gwardię rozwiązano, ale jej członkowie nadal pokazują się na prawicowych demonstracjach.

W czasie, gdy działała, sytuację Romów monitorował Węgierski Komitet Helsiński. Badania wykazały: Cygan ma od nie-Cygana trzy razy więcej szans, że wylegitymuje go policjant. Sądy, rozpatrując takie samo przestępstwo Węgra i Cygana, wyrok bezwzględnie pozbawienia wolności częściej nakładają na Cyganów. Komitet przypominał też, że biednego podsądnego zwykle nie stać na skutecznego adwokata. Dlatego na sali rozpraw Cyganie traktowani bywają surowiej.

Węgrzy jednak głęboko wierzą, że „przestępczość cygańska” istnieje. Według badań z 2009 roku prze-



György Makula przed „pałacem policji” w Budapeszcie.

Fot. Barakonyi Szabolcs

konanie to podzieli 91 procent ankietowanych. Społeczna i medialna aktywność Györgya Makuli w okresie budzących emocje konfliktów zwróciła uwagę przełożonych. Właśnie w 2009 roku zaproponowali mu stanowisko rzecznika prasowego. Dzieli je z węgierską koleżanką Móniką Bényi. Według Makuli służba w policji przynosi Cyganom korzyści: - Pozwala im wyjść z biedy. Kto ma stałą pracę i płacę, może założyć rodzinę, wziąć kredyt, kupić mieszkanie. Jak ludzie na ulicy widzą policjanta-Roma, to chyba trudniej im podtrzymywać stereotypy. Mundur zwalcza uprzedzenia.

I dodaje: - W przypadku konfliktu, między Romami, romscy policjanci lepiej rozumieją sytuację i są życzliwiej przyjmowani. Gdy dochodzi do sporu między Romami i nie-Romami, sprawa jest delikatniejsza. Pojawia się podejrzenie, że cygańscy mundurowi są stronnicy.

W stowarzyszeniu Makuli są policjanci, ale także celnicy i pracownicy więziennictwa. Organizacja zachęca młodych Romów do służby w mundurze, pokazuje im pozytywny model życia. Liderzy działają nowocześnie. W ramach kampanii spo-

łecznej na ulicach i w metrze rozwiesili plakaty z napisem „Rom czy policjant”. Słowo „czy” zostało w hasle skreślone, zastąpiono je spójnikiem „i”. Rzeczywistość jest mniej różowa niż billboardy. Policja przyjmuje ludzi z maturą, przed Romami daleka droga.

W marcu 2010 roku stowarzyszenie wyróżniono zaproszeniem do ambasady brytyjskiej na spotkanie z księciem Karolem, który przebywał na Węgrzech z wizytą. Zaszczyc ten spotkał jedynie cztery węgierskie organizacje społeczne. Miesiąc później na Węgrzech odbyły się wybory parlamentarne. Jobbik zdobył ponad 16 procent głosów. Sukces zawdzięcza retoryce nacjonalistycznej połączonej ze sloganem, że każdy Cygan ma cechy przestępcze.

Kiedyś dziennikarz zapytał Györgya Makulę, jakich dowcipów nie cierpi bardziej - o Romach czy o policjantach. - Odpowiedziałem, że o Romach, bo policjantem człowiek staje się z wyboru, Romem jest się od urodzenia.

Jerzy Celichowski

Sylwetkę Ottó Rostása opisałem na podstawie książki Pétera Kornissa i Pála Závady pt. Egy sor cigány. Huszonnégy mai magyar. Budapest, Corvina 2011.

2012

Saintes-Maries de-la-Mer

we Francji.
Fotografował
Piotr Wójcik



Nasza Pani z Tratwy

☀️ Targ oblężony, w każdym zaułku gra muzyka, tłok na kempingach, obozowiska na ulicach, hałas, rżenie. Konie jedzą obrok. Tak raz do roku wygląda Saintes-Maries-de-la-Mer. Pielgrzymi przybywają na procesję, która z kościoła wyrusza nad morze. Dźwigają na ramionach ciemną drewnianą statuetkę. ☀️ Nikt nie wie, kiedy przybysze pierwszy raz odwiedzili francuskie miasteczko, ale niezmiennie pojawiają się w tych samych dniach - 24 i 25 maja. Czuwają nocą przy figurze, a nazajutrz wiodą ją na plażę. Piasek, woda i drewniana rzeźba wyzwalają ekstazę. Pielgrzymi wykrzykują w uniesieniu „Sara! Święta Sara!”.





☀ Był rok 42, kiedy na pokładzie łodzi z Palestyny do brzegów południowej Francji przybyli pierwsi chrześcijanie. Były wśród nich trzy Marie: Maria Magdalena, Maria Salome, Maria Jakubowa oraz Sara, egipska służąca. 14 wieków później na tych samych ziemiach pojawili się cygańscy wędrowcy. W Saintes-Maries-de-la-Mer stał już kamienny kościół w kształcie

łodzi zwany Notre Dame de Ratis - Nasza Pani z Tratwy. Miasteczko szczyciło się, że właśnie tutaj odkryto pozbawione głów szczątki czterech kobiet. Przyjęto, że są to trzy Marie i Sara.

☀ Dwie białe Marie - Jakubową i Salome - Kościół uznał za święte. Chociaż czarna Sara świętą nie jest, to właśnie dla niej ten majowy szum.



☀️ Legenda głosi, że była królową Cyganów, którzy w pierwszym wieku po Chrystusie żyli na dzisiejszych ziemiach Francji. Przyjęła chrzest, a za nią jej lud. Dlatego Cyganie upodobili sobie Sarę i miasteczko z niezwykłym kościołem, gdzie leżą jej doczesne szczątki. ☀️ Białe Marie udają się ku morzu osobno, Romowie niosą je na barkach. Księża prowadzą obie procesje.

Piotr Wójcik







Piotr Wójcik

Studiował historię Kościoła. Przed 1989 kolporter wydawnictw podziemnych, drukarz wydawnictwa Krag, fotograf wychodzącego w drugim obiegu tygodnika Przegląd Wiadomości Agencyjnych.

Po 1989 fotoreporter Gazety Wyborczej, a od 2001 do 2011 szef jej działu fotograficznego.

Obecnie fotograf niezależny.

Od 20 lat dokumentuje życie europejskich Romów. Autor wystawy „Warszawa – Bukareszt 1996”

o Cyganach w Rumunii eksponowanej na 8 dworcach kolejowych w Polsce.

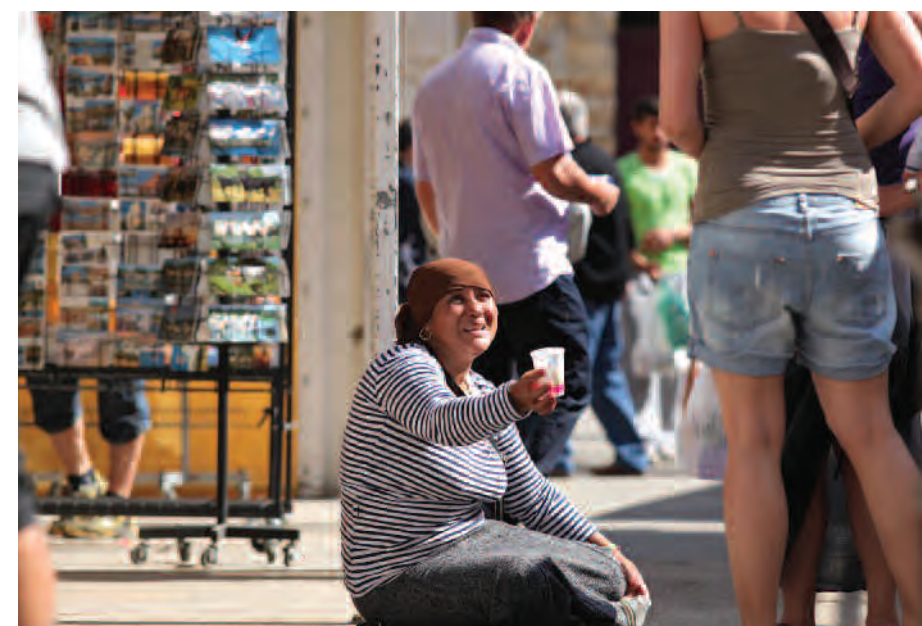
W 2000 roku opublikował album fotograficzny „Cyganie z obu stron Karpat”.

Redaktor albumów, kurator wystaw oraz inicjator działań artystycznych dotyczących dokumentu fotograficznego.

W 2012 zrealizował projekt „Bytom Karb 2011” pokazany na wystawie „Pamięć Pracy” w Essen.

Wykładowca fotoreportażu w Łódzkiej Szkole Filmowej.

Wiceprezes fundacji Opowiedz To – Picture This.









Instalacja
Wiedeń
2011

Damian Le Bas

Timea Junghaus

Przez wspomnienia, przestrzeń i tożsamości...

Sztuka Damiana Le Basa

„Wpatrując się uważnie w żarzący się ogień, w migoczącej grze pomiędzy blaskiem płomieni, cieniami i popiołem możemy dostrzec niekończące się historie. W obrazach przywoływanych przez Damiana jest ta sama głębia narracji, jednak opowiadane przez niego historie nie są jedynie wytworami naszej wyobraźni, lecz ścieżkami prowadzącymi przez labirynt przenikających się rzeczywistości, prawdziwych przygód, które nie znikają jak gasnący ogień, lecz na zawsze zatrzymują burzliwe interakcje ludzi, idei i kultury” - tak sztukę Damiana Le Basa opisuje profesor Thomas Acton we wstępie do wystawy *Second Site* (druga strona) prezentowanej w Londynie w 2005 roku. Była ona niezwykle istotnym wydarzeniem, ponieważ po raz pierwszy wprowadzała romskich artystów - pozostających dotychczas na marginesie głównego nurtu sztuki współczesnej - do jej kanonu. Wydarzenie to zgrało się w czasie z wysiłkami romskich artystów z Europy Środkowej, którzy walczyli o uznanie romskiej twórczości za kulturę wysoką. Te dwie inicjatywy doprowadziły do powstania Pierwszego Romskiego Pawilonu na Weneckim Biennale Sztuki Współczesnej 2007. Jednym z twórców wystawiających tam swoje prace był właśnie Damian Le Bas, który zyskał uznanie i zdołał przebić się do międzynarodowego świata i rynku sztuki. Le Bas urodził się w 1963 roku w południowym Yorkshire w rodzinie o mieszanej tożsamości etnicznej: matka pochodziła z irlandzkich Travellersów, a ojciec wywodził się z osiadłych handlarzy koni. Pierwsze kontakty Damiana ze sztuką skupiały się na muzyce alternatywnej; dopiero później pokazał zdolności w malarstwie oraz innych technikach plastycznych, jak szkice, kolaże czy instalacje. Sztuka Le Basa dekonstruuje wiele stereotypów na temat Romów. Dryfując luźno pomiędzy różnymi rozwiązaniami artystycznymi, Le Bas nie zamyka się jedynie w świecie olejnych obrazów. Potrafi wyrażać się również poprzez szkice ołówkiem i tuszem, a także instalacje i montaże. W ich tworzeniu często wspiera go żona, również artystka, Delaine Le Bas. Używanie niekonwencjonalnych materiałów - prywatnych zdjęć, okładek kolorowych magazynów czy wycinków prasowych - to wyróżnik obojga artystów.

Kształty i sylwetki uwieczniane w sztuce Damiana Le Basa wydają się odbiorcom znane, ponieważ artysta bawi się koncepcjami i ideami głęboko zakorzenionymi w kulturze współczesnej. Elvis Presley, Myszka Miki,



Damian Le Bas

Rocznik 1963, urodzony w Sheffield w rodzinie irlandzkich Travellersów. Kojarzony z nurtem Sztuki Outsiderów (termin, którym określano samouków, umysłowo chorych bądź niekonwencjonalnych artystów działających poza instytucjami sztuki).

Rysował od dziecka. W szkole radził sobie źle i został wyrzucony. Pracował dorywczo na budowie czy w fabryce czajników, ale wciąż był bezrobotny. Pracownica biura pośrednictwa pracy poradziła mu, żeby zdawał do West Sussex Art College. Tak zrobił, później skończył Royal College of Art w Londynie. Twierdzi, że malowanie to jedyna stabilna rzecz w jego życiu. Ojciec Le Basa popełnił samobójstwo, matka jest częściowo sparaliżowana, a ciężarna siostra i bratanek zmarli.

W pracach często używa wątków autobiograficznych. Ostatnio zafascynował go temat klaustrofobii wędrowców we współczesnej Europie. Jego dzieła wystawiano w Wielkiej Brytanii, USA, Japonii, Szwecji i Irlandii, Czechach, prezentowano je także w Romskim Pawilonie na Weneckim Biennale w 2007 roku.

Damian „Danes” Le Bas, syn artysty, jest redaktorem „Travellers’ Times” - czasopisma Romów i Travellersów w Anglii.

postacie mitologiczne czy literackie występujące w irlandzkiej i brytyjskiej tradycji mieszają się z obrazami/fragmentami/symbolami z tradycji Romów i Travellersów oraz wspomnieniami artysty. Rezultatem jest wręcz bajeczna symbolika, oferująca uniwersalną narrację, bogatą w szczegóły, akcesoria, fragmenty tekstów, które odbiorca musi przeczytać, odkodować i zanalizować.

Obrazy z początków twórczości Le Basa są inspirowane opowieściami dziadka artysty, Michaela Carneya, o którym sam Le Bas mówi, że „karmił swoją wyobraźnię nierealnymi przypowieściami”. Późniejsze płótna zawierają ślady udziału twórcy w kilku współczesnych przedsięwzięciach artystycznych, choć mimo wszystko zachowuje on niezależność metod i rodzajów, umieszczając w swoich pracach objet trouvées, czyli przedmioty znalezione, pamiątki i zdjęcia.

Od 2007 roku Le Bas często używa map. Pokrywa je charakterystycznymi dla niego wizerunkami twarzy z szeroko otwartymi oczami, feerią barwnych postaci; przerysowuje, poprawia, przełamuje - dosłownie i metaforycznie - granice wyrysowane przez czas, historię i tradycję; wypełnia i zaludnia je na nowo obrazami pochodzącymi z kultury Romów i Travellersów. W jednej z sal Pierwszego Romskiego Pawilonu na Weneckim Biennale Sztuki Współczesnej 2007 umieścił ponad 20 takich map, pokrywając nimi nawet podłogę. Ten gigantyczny projekt, „mapujący” w swoim przekazie romską sieć interakcji i subtelnie podkreślający relacje między mieszkańcami Europy oraz świata, sugerował potrzebę i pragnienie utworzenia symbolicznego terytorium dla artysty oraz jego tożsamości. Poszukiwanie i wewnętrzna eksploracja tożsamości znajdują odzwierciedlenie w tworzonych przez Le Basa kolażach - dziełach, które od 2009 roku zdominowały jego twórczość. Składają się one z wycinków gazet, wstążek, kawałków kolorowego papieru, fragmentów innych dzieł sztuki, fotografii, tekstów literackich oraz rozmaitych przedmiotów przyklejonych do kartki papieru lub pokrytego rysunkami płótna.

Zgodnie z historyczną definicją kolaż (z francuskiego à coller - przyklejać) jest formalistyczną sztuką wizualną powstałą poprzez nagromadzenie różnych innych form artystycznych, które tworzą nową całość. Używając tej metody, artysta nawiązuje do jednej z najbardziej progresywnych teorii tożsamości, tj. hybrydowości: „Znaczenie hybrydowości nie polega na możliwości dostrzeżenia dwóch (lub więcej) oryginalnych motywów, (...) hybrydowość jest trzecią przestrzenią, która umożliwia wydobywanie pozostałych treści”. Dzięki tej błyskotliwej mediacji artystycznej Damian Le Bas pozwala nam podróżować przez wspomnienia, przestrzenie, tożsamości...

W styczniu 2012 roku Le Bas prezentował swoje dzieła w Kai Dikhas w Berlinie, pierwszej europejskiej galerii sztuki romskiej. Wystawione imponujących rozmiarów kolaże to hołd złożony przejawom codzienności - inspiracjom, jakie artysta dostaje od żony Delaine, jego miłości do syna i ich nieustannemu dialogowi, pięknym wspomnieniom z dzieciństwa. Jednak podchodząc bliżej i czytając fragmenty tekstu, można dostrzec, że pod tą barwną powierzchnią kryje się pragnienie lepszego życia - bez nienawiści, przemocy, dyskryminacji - dla wszystkich Cyganów, Romów i Travellersów.

Tímea Junghaus

Magister historii sztuki,
doktorantka w dziedzinie
teorii kultury i sztuk
audiowizualnych
Uniwersytetu Eötvös Loránd
na Węgrzech.

Kuratorka wielu wystaw,
m.in. Romskiego Pawilonu
na Biennale w Wenecji
w 2007 roku.

Autorka i współredaktorka
publikacji na temat sztuk
wizualnych Romów
europejskich

„Poznaj swoich sąsiadów -
współczesna sztuka romska
w Europie” (Open Society
Institute 2006).

Dyrektor wykonawcza
Fundacji Kulturalnej Romów
Europejskich.



Roma Europe, 2007

Technika mieszana na wydrukowanej mapie 76,5 x 67,3 cm

Colt 45, 2005

Akryl, płótno 127 x 127 cm. Reprodukacja fragmentu obrazu



Art for Arts sake money for Gods sake

Kolaz



☼ Cyganie tworzą muzykę dokładnie tak samo, jak wyposażają domy. Gromadzą w nich figurki, dywany, poduszki...

Grzegorz Brzozowicz

No Smoking

Tak naprawdę to miał być wywiad z **Emirem Kusturicą** o jego cygańskich fascynacjach. Reżyser wraz z zespołem No Smoking Orchestra przyjechał w połowie maja na koncert do Katowic. Umówiliśmy się na wywiad następnego dnia, tyle że o godzinie 11 Emir mocno chrapał w swoim hotelowym pokoju. Nic nie mogło go obudzić - ani walenie do drzwi, ani telefonu. Najmniej zdziwieni byli sami muzycy, którzy spokojnie czekali na szefa w hotelowej restauracji. „Nic nie zrobisz” - powiedział mi skrzypek **Dejan Sparavalo**.

„Musisz czekać, a i tak nie wiadomo, w jakim Emir zejdzie nastroju”. W tej sytuacji postanowiłem porozmawiać właśnie z nim - głównym kompozytorem i aranżerem zespołu No Smoking.



Trupa podróżujących cyrkowców

Dejan Sparavalo (po lewej)
i Emir Kusturica.
Fot. Dragan Teodorovic Zeko

Kiedy rozpoczęła się „filmowa” współpraca między zespołem No Smoking Orchestra i reżyserem Emirem Kusturicą?

Dejan Sparavalo: W trakcie wojny domowej w byłej Jugosławii część muzyków tworzących zespół Zabranjeno Puszenje (Zakaz Palenia), bo tak oryginalnie nazywała się nasza sarajewska grupa, przeniosła się do Belgradu. Tam w 1997 roku wydaliśmy album „Nie jestem stąd”, który zawierał piosenkę „Ženi się nasz Vukota”. W tym samym czasie Emir kręcił w Serbii film „Crna mačka, beli mačor” (tytuł polski: „Czarny kot, biały kot”) i zaproponował nam, byśmy do tego obrazu przerobili nasz nowy przebój. I tak powstała „Bubamara” (Biedronka) z romskim tekstem. Emir oczywiście już wcześniej zaangażował kompozytora, ale kiedy usłyszał „Bubamarę”, to zamówił jeszcze jedną piosenkę, a potem kolejne. W końcu zwolnił gościa, a my, bez jakiegokolwiek wcześniejszego przygotowania, skomponowaliśmy prawie całą ścieżkę dźwiękową do filmu.

Czy Emir sugerował wam, jakie utwory chciałby mieć w filmie?

- Kiedy się pojawiliśmy, realizacja filmu była już na półmetku. Emir miał bardzo precyzyjnie zaplanowane nie tylko sceny, ale również „słyszał” muzykę, jaka miała zabrzmieć w każdej z nich. Dlatego dawał nam precyzyjne wskazówki dotyczące zarówno tekstu, jak i nastroju samej muzyki. Prezentowaliśmy mu różne motywy muzyczne, a on niektóre przyjmował, a inne odrzucał. Z drugiej strony jego też inspirowały nasze piosenki i w kilku przypadkach wpłynęły na fragmenty filmu.

Jak wyglądały wasze kontakty z cygańskimi aktorami?

- Oni byli naprawdę wspaniali. Przede wszystkim urzekli nas swoją bezpośredniością i nieprzewidywalnością. Emir zatrudnił wyłącznie amatorów, bo od lat uwielbia współpracować z osobami nieskażonymi szkołą teatralną. Większość Cyganów pochodziła z okolic Belgradu, ale dwójka głównych aktorów przyjechała ze Skopje, stolicy Macedonii. Dokładnie z dzielnicy Szutka, o której nawet powstał film fabularny „Księga rekordów Szutki”. Cyganie żyją w oderwaniu od klisz, jakie wypełniają nasze życie codzienne. Wielokrotnie zaskakiwali nas gestami, wypowiedziami, czy też zachowaniem, do jakiego nie przywykliśmy. Najpierw reagowaliśmy na to stwierdzeniem: „Nie do wiary, zobacz, coś takiego naprawdę jeszcze istnieje”, a potem zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że oni zachowują się naturalnie, a my mamy gigantyczne obciążenia wynikające z kulturowej tresury życia w wielkich miastach.

A jak byś ocenił ich profesjonalizm przy pracy na planie filmowym?

- To zależy. Ci, którzy już wcześniej pracowali z Emirem, wiedzieli, że z nim nie można przeciągać struny. I byli zdyscyplinowani. Natomiast nowicjusze z góry zakładali, że tak jak i w ich życiu - mają wielki margines swobody. Jednak machina filmowa nie pozostawia miejsca na brak subordynacji, więc Emir szybko im uzmysłowił, kto jest generałem.

To nie było wasze pierwsze spotkanie ze słynnym reżyserem?

- O, nie. Znaliśmy się z Sarajewa. Dziesięć lat wcześniej Emir, jako basista, był członkiem zespołu Zabranjeno Puszenje, a oprócz tego nakręcił kilka teledysków grupy. Natomiast nasz wokalista, Nele Karajlić, wystąpił w jego

filmie „Underground” w roli szefa cygańskiej orkiestry.

Po premierze „Czarnego kota, białego kota” wasza filmowa twórczość nabrała rozmachu.

- Zdecydowanie. Skomponowaliśmy muzykę do kolejnych filmów Emira: „Życie jest cudem” i „Obiecaj mi”. A ja i Nele napisaliśmy muzykę do greckiego filmu „Walizka w Berlinie” i serbskiego „Truskawka w supersamie”. Wcześniej Emir zaproponował, byśmy na żywo wykonywali utwory z jego filmów i tak powstał band Emir Kusturica & The No Smoking Orchestra. Na początku pojechaliśmy do Włoch, gdzie z miejsca mieliśmy ponad 20 koncertów. I tak od 11 lat tułamy się z zespołem po całym świecie.

Jak byś opisał muzykę zespołu No Smoking?

- Wywodzi się z naszych życiowych i muzycznych doświadczeń. Stanowi bardzo swobodne połączenie bałkańskiego folkloru i naszych rockowych korzeni. To jest mieszanka różnorodnych inspiracji muzycznych, których wspólną cechą jest radość. Podczas koncertów, i to zarówno w Serbii, Argentynie czy Polsce, ludzie się doskonale bawią i spontanicznie reagują. I właśnie od początku to był nasz główny cel.

Czy przed realizacją filmu „Czarny kot, biały kot” w muzyce zespołu Zabranjeno Puszenje pojawiały się elementy cygańskiego folkloru?

- Oczywiście. Tak naprawdę w muzyce każdego zespołu pochodzącego z terenów byłej Jugosławii, który nie kopiuje zachodnich wzorców, jest to nieuniknione. Czysta serbska muzyka etniczna nie istnieje, tak jak i rumuńska, bułgarska, macedońska, albańska czy grecka. W każdym z tych krajów spotykamy oryginalny, niepowtarzalny folk, ale jest on wariantem wpływów wszystkich tych bałkańskich kultur. Natomiast spoiwem łączącym te światy jest muzyka cygańska, gdyż Cyganie od wieków żyją we wszystkich tych krajach.

Czy w Sarajewie, jeszcze jako punkowiec, miałeś styczność z cygańską muzyką?

- Grałem na skrzypcach w wielu kapelach występujących na co dzień w kafeinach. Można powiedzieć, że Zabranjeno Puszenje było moim hobby, bo od dzieciństwa przede wszystkim zarabiałem w knajpach. Kiedy Nele postanowił w Belgradzie stworzyć nową wersję sarajewskiego zespołu, wręcz oczekiwał, bym komponując nowe piosenki, sięgnął do moich folkowych korzeni. I tak utwory No Smoking zabarwiłem m.in. cygańskim folklorem, a ponieważ moja babcia była Węgierką, tym łatwiej sprostąłem temu zadaniu.

Jakie są najmocniejsze strony Cyganów-muzyków?

- Przede wszystkim potrafią przystosować się do innych. To wynika ze stylu ich życia. Ponieważ wciąż są w podróży, to z dzieciinną łatwością włączają do swojej muzyki elementy folkloru napotkane w różnych krajach. To dla nich tak naturalne, że błyskawicznie uznają zapożyczenia za coś własnego. Do tego mają niesamowity słuch i z lokalnych środowisk wyłapują tylko te elementy, które rzeczywiście są inspirujące. Dzięki temu muzyka cygańska cały czas się rozwija. Węgierska muzyka cygańska jest zupełnie inna niż

rosyjska czy serbska. Jednocześnie, niezależnie od tego, gdzie powstała jakaś piosenka, natychmiast rozpoznasz, że grają ją Cyganie. Ich gry nie można podrobić.

Cyganie tworzą swoją muzykę dokładnie tak samo, jak wyposażają domy. Gromadzą w nich przeróżne błyskotki, figurki, dywany, poduszki... Kochają połączenie złota i bieli. Gdzie indziej taki zestaw przedmiotów tworzyłby estetyczny dysonans, a w ich mieszkaniach to idealnie pasuje. W muzyce czasem wykorzystują jazzowy swing, mieszają go z klasyką, a całość zaprawiają czardaszem. Na koniec z tego wszystkiego wychodzi ich własna oryginalna muzyka. Do tego stosują takie harmoniczne przesunięcia, które nigdy w życiu nie wpadłyby do głowy żadnemu Europejczykowi.

Jaki był najdziwniejszy projekt muzyczny, który zrealizowałeś wspólnie z Cyganami?

- Kilka lat temu zaproszono nas do udziału w międzynarodowym projekcie, który zakładał, że zespoły z różnych rejonów świata miały przerobić znane tematy muzyczne w stylistyce muzyki cygańskiej. Wybraliśmy piosenkę „Lost in the supermarket” brytyjskiego zespołu The Clash. Końcowy efekt był piorunujący, a przy tym wybornie się bawiliśmy.

W waszych utworach coraz częściej dominuje język romski.

- Bo w przedziwny sposób stał się językiem międzynarodowym. Nie w sensie porozumiewania się między ludźmi, lecz jako międzynarodowy język muzyczny. Wprawdzie publiczność go nie rozumie, ale niewątpliwie czuje. Zdecydowanie bardziej niż serbski. Język Cyganów jest na tyle sugestywny, że do ludzi mimo wszystko docierają emocje zawarte w tekstach.

Jak w takim razie powstają te teksty?

- Nele pisze je po serbsku, a potem wysyłamy teksty do naszych przyjaciół, którzy w Nowym Sadzie pracują w telewizji, w redakcji romskiej. I to oni dostarczają nam ostateczne wersje, które na scenie śpiewa Nele.

Wasz koncert oprócz porywającej muzyki zawiera wiele elementów, powiedzmy, teatralnych, występujecie m.in. w kostiumach. Na scenie od razu rzuca się w oczy Cygan z akordeonem ubrany w olśniewający biały garnitur. Czy w tej postaci należy doszukiwać się jakiejś symboliki? W filmach „Widziałem szczęśliwych Cyganów” Petrovicia i „Czy pamiętasz Doly Bell?” Kusturicy cygańscy bohaterowie noszą właśnie białe garnitury.

- Nie zagłębialiśmy się w taką symbolikę. Pomysły przychodziły spontanicznie. Po prostu swoim wyglądem chcemy przypominać trupę podróżujących cyrkowców. Dlatego na scenie często zmieniamy garderobę. Celem nie są ukryte idee, ale budowanie efektu kolorowego festynu. W pewnym momencie nawet poważnie się zastanawialiśmy, czy nie występować pod cyrkowym namiotem. Chcieliśmy zatrudnić linoskoczków, połykaczy ognia, ale to byłoby dość poważne finansowo i organizacyjnie wyzwanie, które mogłoby nas przerosnąć.

Wywodzicie się z Sarajewa, gdzie doszło do krwawych rozruchów etnicznych. W filmach Emira Kusturicy głównymi tematami nie są jednak



Dejan Sparavalo (po lewej)
i Emir Kusturica podczas
koncertu No Smoking
Orchestra w 2009 roku w Gdyni.
Fot. Andrzej Wrzesiński/East news

konflikty między Serbami, Chorwatami czy Bośniakami, natomiast tematyka cygańska występuje w nich praktycznie zawsze.

- W Sarajewie mojej młodości nigdy nie było napięć etnicznych. Za czasów reżimu Tity Sarajewo słynęło z tolerancji kulturowej. Dopiero kiedy światowe mocarstwa postanowiły rozbić Jugosławię, kraj niewątpliwie wówczas znaczący w Europie, zagrano na nucie nacjonalizmów.

Emir wychował się w dzielnicy Gorica, gdzie większość mieszkańców stanowili Cyganie. Myślę, że to otoczenie, domy zbudowane z kartonów i gliny, biegające wszędzie gołe dzieciaki, ogólny harmider oraz zewsząd rozbrzmiewająca muzyka i wydobywające się z każdego zakątka najprzeróżniejsze zapachy musiały głęboko pozostać w jego pamięci. Te obrazy cały czas działają na jego wyobraźnię. Jednocześnie Cyganie będący stałym tłem jego dziecięcej rzeczywistości żyli według własnych reguł i praw, które były obce innym mieszkańcom Sarajewa. Emir kiedyś powiedział, że w cygańskich sąsiadach widział Indian, których oglądał w amerykańskich filmach. Pamiętajmy, że obrazy z lat 50. i 60. kreowały czerwonoskórych jako dzikusów, ale jednocześnie przez swoją odmienność Indianie urzekali wielu młodych ludzi na całym świecie.

A co z operą „Czas Cyganów”, którą z Emirem wystawiliście w Paryżu w 2007 roku?

- Po kilkuletniej przerwie znowu będziemy ją grali. W końcu rozwiązaliśmy umowę z naszym francuskim partnerem i możemy ponownie wyruszyć z operą po świecie.

Tylko mnie nie zamęczaj

Z windy wyszedł potargany Emir Kusturica. Jego obolała mina mówiła wszystko. Nie było szansy na jakikolwiek wywiad. „Tylko mnie nie zamęczaj pytaniami. Napisz mi je w mejlu, a ja ci odpiszę” - rzucił mistrz. Nie oponowałem, wiedząc, że lepiej nie rozjuszać byka.

„Można było się tego spodziewać” - rzekł do mnie na pożegnanie Dejan i ruszył wraz z szefem do limuzyny, która zawiozła ich na lotnisko, gdzie na reżysera czekał prywatny odrzutowiec.

Na pytania Emir oczywiście nie odpowiedział, co nie znaczy, że przy następnym naszym spotkaniu nie padniemy sobie w ramiona. Znamy się już było nie było 31 lat.

Grzegorz Brzozowicz

Diabeł u zarania czyli traktat metafizyczny

☼ Płowowłosa dziewczynka i Cygan
stoją po dwóch stronach lśniącej
franki. ☼ Biel i czerni to
przeciwnie siły. ☼ Wrogi, lecz
i wzajemnie się uzupełniające

Miłosz A. Gerlich

Na początku była opowieść. Podczas podróży pociągiem reżyserka Dorota Kędzierzawska usłyszała rozmowę: ksiądz chętnie się, że za pomocą strażackiej sikawki wypędził Cyganów z parafii.

Historia ta stała się inspiracją dla onirycznej, przepełnionej liryką filmowej ballady z 1991 roku „Diabły, diabły” o przybyciu cygańskiego taboru do małego polskiego miasteczka w latach sześćdziesiątych XX stulecia.

Film rozpoczyna się kadrem, którego centralną część zajmuje jajko - symbol powtarzalności, odradzającego się życia. Z offu dobiega głos, kobieta - używająca na przemian języka polskiego i romani - przepowiada przyszłość. To Cyganka. Wróży z ręki nastolatce o płowych włosach.

„Gdy mędrzec zna początek sprawy, zna także jej koniec” - poucza Talmud. Sentencja ta stanowi sedno ontologicznych pytań o strukturę rzeczywistości, o przyczynę i istotę bytu. „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo” - czytamy u Jana Ewangelisty. Autor Apokalipsy dokonuje chrześcijańskiej interpretacji prapoczątku. Określa punkt, w którym rozpoczyna się czasowa linearność.

Cykliczna optyka czasu, właściwa tzw. społeczeństwom pierwotnym, charakterystyczna jest także dla kultur typu ludowego. Dominowało w niej



Fot. Jan Górski/Polifilm/East News



myślenie magiczne, uprawomocniane obserwacją powtarzających się pór roku, w którym zaranie świata tłumaczyły mity kosmogeniczne. Gdy bogowie i mityczni przodkowie tworzyli i uporządkowywali świat, nadawali mu sens, który muszą odtwarzać kolejne pokolenia.

Cyganka wróży. „Mała”, płowowłosa bohaterka filmu, słyszy: „Rozpacz, w twoich oczach wielki smutek. Pada duża klątwa. Diabeł cię otacza!”. Słychać krzyk.

Objawienie Zła

Podczas lekcji uczeń, z trudem składając słowa, czyta kolejne wersy poematu Mickiewicza: „Młodości! tobie nektar żywota. Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę”. Nagle porządek lekcji zostaje zakłócony. Do miasteczka przybywa cygański tabor.

„Mała” z innymi dziećmi odchodzi od ławek i zaintrygowana wygląda przez okno. Grupa w milczeniu spogląda na zbliżających się wędrowców. I księdza, ziemskiego orędownika porządku boskiego, który widząc przyjezdnych, wykonuje zdecydowane gesty: chce przepędzić obcych.

Jedno z naczelných pytań chrześcijaństwa dotyczy statusu Zła. Jak pogodzić jego istnienie w świecie, który stworzył wszechmocny i wszechdobry Bóg katolicki? Czy człowiek - zakładając, iż posiada wolną wolę - może wyeliminować Zło ze świata? Rozwiązanie tego ontologicznego paradoksu, określanego mianem teodycei, to przedmiot refleksji filozofów i teologów od pierwszych stuleci po narodzinach Chrystusa. Pytanie o początek Zła na, ziemskim padole prowadzi do problemu pochodzenia i natury Diable. Moment jego zstąpienia do europejskiej kultury pozostaje nieuchwytny. W Starym Testamencie Diabeł charakteryzowany jest jako wykonawca woli Boga, dopiero w drugiej części Biblii staje się jego przeciwnikiem. Idąc tropem rozważań Leszka Kołakowskiego, Antychryst pojmowany jest jako bezcielesna i rozumna istota, zdeterminowana pragnieniem czynienia zła. Jakże inna jest ludowa wizja Szatana. W plebejskim obliczu katolicyzmu Diabeł przyjmuje postać zarówno groteskową, jak i straszliwą. Równie wielowymiarowo i ambiwalentnie folklor ludowy przedstawia Obcego. Podobieństwo cech obu tych figur prowadzi do częstego utożsamiania Obcego z Diabełem.

Ciemnoskórzy przybysze naruszają mikrokosmos miasteczka. Obcy to Diabeł, którego należy się pozbyć. Kapłan musi ochronić dusze swoich owieczek.

Wszystko już było

„Cygańskie diablę” burzą naturalny porządek. Wraz z ich nadejściem następuje powrót do mitycznego początku i cykliczności sacrum. Gdy „Mała” wraca ze szkoły, słyszy, jak matka, niczym w transie, mówi półgłosem: „To wszystko już było”.

Zaciekawione dzieci z wysokości przypatrują się cygańskiemu życiu; w dolinie wędrowcy rozbijają obóz. To niemal archetypiczny podział na dwie rzeczywistości - przestrzeń ziemską i położone niżej piekło. Panuje w nim rozgardiasz, ruch, harmider, gwar. Nastolatki decydują się zejść do owej czeluści. Z bliska obserwują liżące lustro Cyganiatko, starszą kobietę, która siedzi na trawie i z filiżanki pije herbatę, matkę opalającą nad ogniskiem kurę, dziewczynę lepiącą pierogi, niemowlę w chuście zawieszoną na dyszlu wozu, rozkrzyczane dzieci. Ot, czynności dnia codziennego. Jakże zwykłe, ale jakże inne. Obce. Diabelskie.

Do małych mieszkańców miasteczka podchodzi młoda Cyganka, którą po chwili otaczają obozowe kajtki. Zapada cisza. Cygańska dziewczyna przywołuje przypatrującego się jej chłopca, który po chwili wahania podchodzi. Jak pokonać dystans dzielący ich światy? Język wydaje się bezużyteczny, to w nim zawierają się wszelkie uprzedzenia. Cyganka zaczyna tańczyć wokół chłopca. Śpiew zwycięża ciszę. Chłopiec podejmuje ten wirujący dialog. Synchroniczność ich tanecznych ruchów sprawia, że znika mentalna odległość.

Obie grupy zaczynają serdecznie chichotać, powstaje nowa wspólnota, wspólnota śmiechu.

Fot. Jan Górski/Polifilm/East News

Latarnia i kamień

Nocą Cyganie odwiedzają miasteczko. Śpiew jednego z mężczyzn zakłóca spokój mieszkańców. Z okna wychyla się któryś z miejscowych i krzyczy „Cicho tam, czarnuchy!”. Z hukiem zamyka okiennice, odgradza się w swoim świecie. Cygan milknie i patrzy pod nogi. Następują po sobie dwa kadry: zbliżenie na kamień i roztrzaskaną uliczną latarnię. Zapada ciemność.

Następnego dnia szczytem doliny, w której leży obozowisko, ksiądz prowadzi gęsiego kilkuletnie dziewczynki z kwietnymi wiankami na głowach. Jego czarna sutanna mocno kontrastuje z ich białymi komunijnymi sukienkami. Z wysokości spogląda na piekielnych przybyszów. Niczym przywódca krucjaty niewiniątek w obronie Ziemi Świętej, parafialnego orbis interior.

Nagle pojawia się malutki cygański chłopiec. Zaczyna krzyczeć. Wrzask po chwili się potęguje, bowiem kolejne podopieczne kapłana przyłączają się do diabelskiego głosu. Krzyk to oznaka życia, ale również zaprzeczenie Boga. Najwyższemu przynależna jest cisza i w niej należy go kontemplować. Ksiądz ponosi klęskę.

Tymczasem kolejni mieszkańcy pragną pozbyć się Cyganów. Również nauczyciel zdradza romantyczne dążenie ku inności. Porzuca wpajane dzieciom pragnienie, by zniknęły „nieczułe lody i przesady światło ćmiące”. Jakże metaforyczna jest scena, gdy przechadzając się po swej ubogiej izbie, rozmyśla, jak zachować się wobec przybyszów. Biorąc kęs jabłka, postanawia: „Coś trzeba zrobić z tymi Cyganami!”. Tym samym powtarza czas początku, dokonuje się grzech pierworodny. Starotestamentowy wąż wręczył mu jabłko, a Zło wygrało walkę o ludzką duszę.

Skąd wziął się tak nieżyczliwy stereotyp Cyganów i wrogi stosunek do nie-swoich? – zdaje się pytać Kędzierzawska. Czy jego źródłem jest przekleństwo, które towarzyszy narodzinom każdego człowieka? Czy to efekt podziałów religijnych? A może powtarzamy błędy poprzednich pokoleń, którym właśnie romantyczni poeci najsilniej się przeciwstawiali?

Krucjata niewiniątek

„Mała”, uczennica nauczyciela, oświadcza matce: „Idę. Idę!”. Po chwili dodaje: „Wróćę”. Czy podświadomie wie, iż świat jest cykliczny, a jego ustalony i niezmienny porządek to jej przeznaczenie?

Dziewczynka przybywa do obozowiska, które wraz z zapadnięciem zmroku staje się przestrzenią śmiechu i tańca. Uciech i zabaw w świetle księżycy i ognisk. Dokonujących się w półcieniach ziemskich rozkoszy. „Mała” zakochuje się w cygańskim chłopcu. Dotyk zastępuje im słowa. Gdy dziewczyna wraca do domu, myje się, lecz obmyć może jedynie ciało. Zdradziła swój świat, mieszkańcy miasteczka ją odrzucają. Od starego orbis interior odgradza „Małą” ściana, której nie może pokonać. Znajduje się w przestrzeni liminalnej, pomiędzy dwoma rzeczywistościami. Koczownicy również jej nie chcą, staruszka nakazuje młodemu Cyganowi: „Zabierz ją stąd!”. Kobieta pilnuje porządku swojej przestrzeni, świadoma, iż obecność płowowłosej dziewczyny spowoduje chaos i sprowadzi na jej wspólnotę nieszczęście.

Tak też się dzieje. Pod przewodnictwem księdza na stronę obozu zmierza grupa mężczyzn. Dwóch z nich ciągnie sikawkę, na głowie mają archaiczne strażackie hełmy, które upodabniają ich do rycerzy walczących o świętą ziemię. Gdy kapłan daje znak, zaczynają oblewać Cyganów - niczym wodą święconą symbolizującą nowe życie i oczyszczenie z grzechów.

Cyganie początkowo reagują śmiechem. Chrześcijański rytuał nie uświęcił

Dorota Kędzierzawska

Reżyserka filmowa, rocznik 1957. Studiowała kulturoznawstwo oraz reżyserię w Moskwie i w Łodzi. Pierwszy sukces, nominację do studenckiego Oscara, osiągnęła dzięki etiudzie „Lajko”.

Jej późniejsze obrazy krótkometrażowe zwyciężały na festiwalach filmowych, również etnograficznych.

W Polsce największy rozgłos przyniosły reżyserce filmy „Pora umierać” oraz „Jutro będzie lepiej”.

Za granicą szczególną uwagę zwróciły „Wrony”.

Bohaterami Kędzierzawskiej, artystki bliskiej kinu autorskiemu, są osoby bezbronne i marginalizowane, których żywot rzadko kończy się szczęśliwie: „Jako filmowca nie interesuje mnie człowiek silny, któremu się wszystko udaje. Z tłumu wybieram ludzi niedopasowanych, innych, którzy utykają na jedną nogę i są pokazywani palcami. (...) Ludziom spoza zaczarowanego kręgu finansowej niezależności i życiowego sukcesu jest o wiele trudniej.

Muszą włożyć naprawdę wielki wysiłek, żeby obronić własną godność (...). Mam przy tym wrażenie, że jakoś paradoksalnie oni żyją lepiej. Czują, co w życiu jest naprawdę ważne”.

„diabłów”. Atmosfera gęstnieje, spojrzenia ujawniają napięcie. Wędrowiec przykładą nóż do gardła „Małej”, lecz do ucha coś jej szepcze. Uspokaja ją. Ksiądz niechętnie nakazuje zakończyć „chrzest”. Musi ratować swą zagubioną owieczkę. Tak nakazuje biblijna przypowieść. Mieszkańcy miasteczka opuszczają piekielną dolinę.

Kłątwa

Gdy agresorzy oddalają się, Cyganie zdejmują ubrania, szorują ciało. To nieomal rytualne czynności, ale nie przyniosą skutku. Cygańskie ciała wciąż mają ciemną karnację. Porządek świata, klątwa rzucona u jego zarania trwa i żadne wysiłki tego nie zmieniają.

„Mała” podejmuje kolejną - już ostatnią - próbę, by dołączyć do wędrowców. Daremnie. Kadr filmu dzieli zawieszona na sznurze śnieżnobiała firanka. Dziewczynka i Cygan stoją po dwóch jej stronach. Biel i czerni to przeciwstawne siły. Wrogie, lecz i wzajemnie się uzupełniające.

Gdy „Mała” opuszcza obóz, spotyka kilkuletniego cygańskiego chłopca. Próbuje z nim porozmawiać. Dzieciak odpowiada jedynie „blup, blup, blup”. „Dziwny jesteś” - kwituje blondynka... Chłopczyk nagle przemawia: „Ocalimy twoje konie, psy. Odkręcimy koło od wozu, będziemy lepsze od wy! co? I nic!”. Odwraca się i biegnie do obozowiska.

Mityczny czas się kończy, dzieci ponownie siedzą w szkolnych ławkach. Obserwują oddalające się cygańskie wozy. Spełniło się pragnienie mieszkańców. „Diabli ich nadali” - kwituje z przekonaniem uczeń.

„Mała” odwiedza nauczyciela. Patrzy na niego z wyrzutem. Wszak wpajał im romantyczną wizję świata, młodzieńczy sprzeciw wobec zastygłych struktur. Ideały młodości nie zrzuciły klątwy. Dziewczyna, pełna żalu i rozczarowania, cytuje „Ode do młodości”: „Niechaj kogo wiek zamroczy...”. Urywa w pół wersu i odchodzi.

Równowaga światów

Kim są więc tytułowe „diabły” w filmie Doroty Kędzierzawskiej? Czy można się uchronić przed klątwą, która od czasu prapoczątku towarzyszy człowiekowi? Reżyserka podejmuje jeden z najważniejszych problemów dotyczących się ludzkiego istnienia. Jej odpowiedź zdaje się brzmieć: każda wspólnota ludzka ma swojego diabła, obcego, który stanowi zagrożenie dla jej spójności. Dla gadziów diabłami są Cyganie, dla Romów diabłami są gadzie. Taka jest ludzka natura, natura świata, w którym bez obcych nie byłoby swoich.

Kwestia teodycei wykracza zarówno poza ramy koncepcji chrześcijańskich, jak i innych religii monoteistycznych. W pewnym sensie stanowi pytanie uniwersalne, na które nie można sformułować odpowiedzi. Mimo kolejnych prób ustalony porządek wciąż trwa. Nie zastąpią go ideały młodości, pragnienie zmiany posad świata tak silnie werbalizowanego przez polskich romantyków.

Immanentną cechą ludzkiego życia są chwile wypełnione smutkiem, rozpaczą i żalem. Diabeł to metafora Zła, które tkwi w każdym człowieku. Bez istnienia Zła człowiek nie mógłby stwierdzić, iż istnieje Dobro.

Miłosz A. Gerlich

Globalizacja to nie nasz wynalazek

✿ Agenci emigracyjni potrafili swoją wizję opakować i sprzedać. Rozdawali ulotki i drobne prezenty, zegarki z wizerunkiem Matki Boskiej. Zupełnie jak dziś, gdy dostajemy reklamowe długopisy - mówi **Martin Pollack** w rozmowie

z Agnieszką Wójcińską

„Biedni są wszędzie tak samo źle widziani, nikt ich nie potrzebuje” - to zdanie z pana książki „Cesarz Ameryki” doskonale pasuje do dzisiejszego świata. A zjawiska z XIX wieku, które pan opisuje - handel kobietami, zagubieni emigranci skazani na nieuczciwych pośredników - wciąż mają miejsce. Ten temat wziął się panu z historii czy ze współczesności?

Martin Pollack: Punktem wyjścia była historia. Później zdałem sobie sprawę, że temat jest aktualny. Myślę, że spokojnie da się znaleźć miasteczko na przykład na Ukrainie, skąd wtedy wywożono kobiety do domów publicznych; i współcześnie też ma to miejsce. W Austrii, tam gdzie mieszkam na

Fot. Lukas Beck

wsi, jest bardzo dużo burdeli. Dawniej nie było. Skąd są te dziewczyny? To nie Austriaczki - pochodzą z Ukrainy, Białorusi, Rumunii, Mołdawii. Trochę po to napisałem tę książkę, żeby pokazać, że to nie są nowe problemy. Ludzie już wtedy odkryli, że można na tym zrobić świetny interes. A władze, podobnie jak dziś, trochę przymykały oko. Ludziom wydaje się to takie nowocześnie. Na spotkaniach autorskich dziwią się ówczesnej globalizacji, która przejawia się w tym, że jakaś kobieta z Czerniowców prowadzi burdel w Indiach albo w Istambule. A globalizacja to nie nasz wynalazek.

Pamiętajmy, że to było 120 lat temu.

- Emigracja odgrywała wtedy podobną rolę jak dziś. Zmieniała Galicję. Emigranci przysyłali do domu pieniądze albo wracali, mając już inny etos pracy. Masowa emigracja zmieniła także Amerykę. Ci ludzie mieli niesamowitą energię i odwagę. Przecież ówczesny emigrant nie miał pojęcia, co go spotka. Nie było tak, że wsiadał do samolotu, a na miejscu ktoś na niego czekał. Opisuję raczej ciemną stronę emigracji, ale z drugiej strony ta opowieść ma dla mnie wydźwięk optymistyczny.

Czym dla pana jest Galicja, punkt startowy bohaterów „Cesarza Ameryki”?

- Dla Austriaków Galicja to wielki mit. Co ciekawe, w czasie jej istnienia ten mit miał charakter pejoratywny - kojarzył się z brudem, smrodem, oszustwem. Było mnóstwo negatywnych powiedzonek odnoszących się do Galicji: „nędza galicyjska”, „galicyjskie stosunki” symbolizujące przekupstwo i samowolę władz, „hrabia galicyjski”, czyli samozwaniec. Dla austriackich urzędników i oficerów to było miejsce zesłania, najgorsze, co mogło się przytrafić. Oznaczało bycie daleko od świata, mimo że Lwów to była w tamtym czasie metropolia. Po upadku monarchii austro-węgierskiej, gdy Galicja przestała istnieć, stała się pozytywnym, pięknym mitem. Taki obraz funkcjonuje do tej pory. Ci sami Austriacy, którzy zniszczyli tamten wielki świat żydowski, dziś mają do niego ogromny sentyment i kultywują cały ten żydowski kicz, obecny choćby na krakowskim Kazimierzu. Nie uważam się za burzyciela mitów, ale lubię pokazać, że może nie było aż tak pięknie, jak nam się dziś wydaje. Galicja była wielokulturowym eksperymentem, bardzo ciekawym, ale nie do końca udanym. Daleko jej było do obrazu ludzi różnych kultur zgodnie żyjących razem, gdzie ksiądz z rabinem chodzą wspólnie przez rynek. Z drugiej strony nie była wyspą nędzy. Bieda i głód panowały wówczas także w Norwegii, Szwecji czy Szwajcarii, skąd jeszcze w XX wieku mnóstwo ludzi emigrowało, a w butach chodziło się tylko w niedzielę.

Jak dziś żyją w Ameryce potomkowie tamtych emigrantów?

- Ciekawe, że potomkowie emigrantów nie wybili się szczególnie, wielu pozostało członkami niższych warstw społecznych. Wyjątkiem były żydowskie rodziny, gdzie często następował skok - emigrant w pierwszym pokoleniu pracował jako domokrażca, jego syn studiował, a wnuk był lekarzem albo adwokatem.

Jak pan trafił na ten temat?

- W krakowskim archiwum wpadłem na opisy procesu agentów emigra-

Martin Pollack

Rocznik 1944. Austriacki tłumacz, eseista i publicysta. Studiował literaturę słowiańską i historię Europy Wschodniej w Wiedniu i Warszawie. Do 1998 roku pracował jako redaktor i korespondent czasopisma „Der Spiegel”. Autor książek: „Po Galicji. O chasydach, Hucułach, Polakach i Rusinach. Imaginacyjna podróż po Galicji Wschodniej i Bukowinie, czyli wyprawa w świat, którego nie ma” (Olsztyn 2000, Wołowiec 2007), „Ojcobójca. Przypadek Filipa Halsmanna” (Wołowiec 2005, 2008), „Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu” (Wołowiec 2006), „Dlaczego rozstrzelali Stanisławów” (Wołowiec 2009), „Cesarz Ameryki” (Wołowiec 2011). Przełożył na niemiecki m.in. wszystkie książki Ryszarda Kapuścińskiego. Laureat Literackiej Nagrody Europy Środkowej ANGELUS 2007, Nagrody im. Georga Dehio i Lipskiej Nagrody Książkowej na rzecz Porozumienia Europejskiego.

cyjnych. „To temat na książkę” - pomyślałem. Zacząłem zbierać materiały i pisać. Miałem jednak pewien kłopot. W moich wcześniejszych książkach zawsze jest jeden główny bohater - mój ojciec w „Śmierci w bunkrze”, Filip Halsmann w „Ojcobójcy”. Tutaj tego bohatera nie miałem.

Nie znalazł go pan?

- Mali, przeciętni ludzie nie zostawiają wielkich śladów w historii. Nie ma po nich albumów ze zdjęciami, archiwów. Można trafić na coś przypadkiem. Tak jak w krakowskim archiwum znalazłem historię czterech zatrzymanych przez patrol Słowaków, która otwiera moją książkę. Potem ich ślad się urywa. Szukasz i nic nie znajdujesz, jakby bohater naprawdę zniknął z powierzchni ziemi. Postanowiłem w związku z tym stworzyć kolaż z losów tych ludzi. A w środku opisać wielki proces pośredników emigracyjnych, który toczył się w Wadowicach w 1888 roku, żeby pokazać, jak ten proceder się odbywał, jak działali agenci.

Pisząc o historii, jest pan pozbawiony reporterskich narzędzi - wywiadu, obserwacji. Czym je pan zastępuje?

- Penetruję archiwa. Najważniejszym źródłem są dla mnie stare gazety. W drobnych wzmiankach można znaleźć naprawdę kapitalne historie, tylko trzeba dokładnie czytać. Historia dziewczyny z Wołowca, która umarła na cholerę złapaną w drodze powrotnej z Ameryki, pochodziła na przykład z takiej krótkiej notatki. Wtedy prasa była jedynym medium. Proces wadowicki też był bogato relacjonowany. To była story, ludzie chętnie o tym czytali. Ale dokumenty, zdjęcia to nie wszystko. Lubię pojechać do miejsc, które opisuję.

Tym razem nie byłem w Stanach Zjednoczonych, ale odwiedziłem wszystkie pozostałe - Brutovce, Oświęcim, Lesko. Muszę zobaczyć tamtejszy krajobraz, co tam rośnie, jak wyglądają domy i jakie twarze mają ludzie.

Zdjęcia są dla pana ważne?

- Bardzo. Jestem zbieraczem starych fotografii. Kupuję je w antykwariatach, na pchlich targach i trzymam w pudełkach. Wśród dwóch-trzech tysięcy starych zdjęć i pocztówek z Galicji mam zbiór zatytułowany „Emigracja”.

Te w „Cesarzu Ameryki” pochodzą z pana kolekcji?

- Wszystkie. Nie są opisane, bo nie wiem, kogo przedstawiają. To zdjęcia biednych ludzi; nikt nie zadał sobie trudu, by napisać na odwrocie, jak się nazywają. W „Cesarzu Ameryki” jest kapitalne zdjęcie Hucułki, która stoi w pociągu z dwójką dzieci i mężem. On jest bardzo przystojny, ale wygląda na mało rozgarniętego, zagubionego. Myślałem sobie: „Biedna kobieta, wyjeżdża z dwójką dzieci i jeszcze ma męża na karku”. Jestem przekonany, że ona musiała to wszystko zorganizować, kupić bilety i jeszcze dbać o rodzinę, gotować. Kiedy patrzę na takie zdjęcie, zaczyna mi się układać w głowie historia tych ludzi.

A Cyganie? Jaką rolę odgrywali w tamtej emigracji?

- Sądzę, że w ogóle nie emigrowali. Nie pamiętam, żebym, czytając ówczesne gazety, natrafił na jakieś wzmianki na ten temat. Nie wiem, czy w Ameryce by ich przyjęli.

Skąd się pan dowiedział o tytułowym „Cesarzu Ameryki” - postaci wymyślonej, do której XIX-wieczni agenci emigracyjni rzekomo telegrafowali za pomocą budzika?

- Z rysunków prasowych, ilustracji do relacji z procesu wadowickiego. Fotografia nie była wtedy szeroko rozpowszechniona i chyba nie była dozwolona w sądzie. Rysunki były za to dość szczegółowe. Artykuły z ilustracjami przypominały dzisiejsze komiksy. Sam budzik był duży, blaszany. W procesie pytali ukraińskich chłopów, jak mogli się na to nabrać. Odpowiadali, że w życiu wcześniej nie widzieli zegarka. Nikt z nich ani sąsiadów go nie miał, nie było zwyczaju umieszczania zegara na wieży cerkiewnej. Ten pomysł z budzikiem jest moim zdaniem godny podziwu.

Podobnie jak sama koncepcja cesarza Ameryki albo arcyksięcia Rudolfa, wskrzeszonego na tę okoliczność po samobójstwie, który ma czekać na swych poddanych w Brazylii.

- Galicyjscy emigranci nie znali świata bez cesarza albo cara. Było dla nich naturalne, że on będzie także w tym nowym świecie. A agenci, choć byli cwaniakami, mieli wyobraźnię i spryt. Statuę Wolności przedstawiali na przykład Polakom jako Matkę Boską, która ich oczekuje.

Można powiedzieć, że byli prekursorami speców od marketingu.

- Potrafili swoją wizję opakować i sprzedać. Robili reklamy, rozdawali ulotki, drobne prezenty, zegarki z wizerunkiem Matki Boskiej. Zupełnie jak dziś, gdy dostajemy reklamowe długopisy albo inne gadżety. Niektórzy agenci potrafili zejść wysoko. Najlepszym przykładem jest Albert Ballin, dyrektor towarzystwa okrętowego HAPAG, który pochodził z rodziny biednych duńskich Żydów. Od małego biura pośrednictwa emigracyjnego, które jego rodzina prowadziła w Hamburgu, doszedł do kierowania jedną z największych firm przewozowych. Był wizjonerem. Wcześniej przewoźnicy niemieccy dostarczali emigrantów z Niemiec do Liverpoolu, dalej zabierały ich statki angielskie. Ballin zaczął wozić emigrantów bezpośrednio z Hamburga do Nowego Jorku.

Wiele opisywanych przez pana historii, jak ta Filipa Halsmanna, pana ojca czy niektórych bohaterów „Cesarza Ameryki”, kończy się tajemnicą. Nie frustruje to pana?

- W moich książkach jest więcej pytań niż odpowiedzi. To frustrujące, ale wydaje mi się, że w życiu tak jest, że wielu rzeczy nie umiemy sobie wytłumaczyć. Czuję się z tym całkiem dobrze.

Po tylu latach pisania czuje pan, że rozumie świat lepiej?

- Jeśli lepiej, to w tym sensie, że teraz wiem, jak mało jest odpowiedzi. Nic nie jest białe-czarne. Ofiara za chwilę może być przestępcą. Mój ojciec był przestępcą, potem został ofiarą, zamordowano go. Historia Europy składa się z pytań. Po wojnie z początku wszyscy - Francuzi, Szwedzi, Szwajcarzy - myśleli: przecież Holocaust to nie był nasz problem. Potem okazywało się, że tu znaleziono żydowskie złoto, tam była kolaboracja. Nie szukam winnych. Wydaje mi się, że wytłumaczenie tego, co się stało, jest skomplikowane, a zachowanie ludzi trudne do wyjaśnienia. Doświadczyłem tego na własnej skórze - miałem wspaniałych dziadków, których bardzo kocha-

łem i którzy otaczali mnie ogromną miłością, a z drugiej strony byli zadowolonymi nazistami.

Z pana książki wynika, że mit Ameryki był wśród emigrantów niesłuchanie silny. Myśli pan, że to tylko sprawka agentów emigracyjnych, którzy przed potencjalnymi klientami roztaczali wizję krainy, gdzie złoto leży na ulicach?

- Mam wrażenie, że coś więcej. Panowało przekonanie, że tam jest wolny świat, wolne przestrzenie. Emigranci czuli, że Ameryka to kraj, w którym będą mogli polepszyć swoje życie. Szczególną obietnicę stanowiła dla Żydów. Pierwsza fala żydowskich uciekinierów przed pogromami w Rosji uświadomiła galicyjskim Żydom, co może się stać.

„Cesarz Ameryki” obala popkulturowy obraz dzielnych pionierów, którzy podbijają nowe ziemie i w których świecie dobro zwycięża.

- Emigranci, których opisuję, lądowali w fabrykach i kopalniach, takich jak w Jonestown, rzadko podbijali nowe przestrzenie. Dolar zarobku dziennie to był dla nich majątek. Trochę jak dla Polaków 30 lat temu, dla których pięć dolarów to była kupa pieniędzy. Pamiętam, że kiedy przyjeżdżałem tu z Wiednia, ludzie traktowali mnie jak wujka z Ameryki. Wtedy w Polsce też istniał mit Zachodu; Polakom wydawało się, że człowiek stamtąd musi być bogaty.

Jak pan myśli, co dzisiaj pełni rolę tego mitu?

- Zastanawiam się. Ale chyba go teraz brakuje. Nie ma już i nie będzie świata, który jest dla nas zupełnie niewyobrażalny.

Agnieszka Wójcicka

Czarnuchy w Paryżu

☼ Podczas kampanii prezydenckiej Hollande'a imigranci poczuli się wreszcie pełnoprawną częścią społeczeństwa

Dominika Pszczółkowska

We Francji potomkowie ciemnoskórych imigrantów zawsze głosują na lewicę. Teraz tym bardziej ze świecą by szukać takiego, który nie poparł na prezydenta François Hollande'a.

Nowy francuski przywódca jest dla nich przede wszystkim anty-Sarkozym. Czarnym, Arabom, Romom daje nadzieję nie tyle na konkretne zmiany w polityce państwa, co na normalne traktowanie, bez retorycznych ataków i traktowania jako obywateli drugiej kategorii.

Hollande prezydentem, inszallah

Spot zaczyna się od pulsującego hip-hopu dwójki amerykańskich muzyków: Jaya-Z i Kanye Westa. Utwór ma śmiały tytuł „Czarnuchy w Paryżu”. Tekst mówi o czarnuchach i policjantach, a powtarzający się zwrot „moja strefa” kojarzy się z rewirami imigranckich przedmieść, do których policja nie ma wstępu. Trudno wyobrazić sobie, by na takim tle chciał się reklamować któryś z kandydatów na prezydenta. A jednak.

Reklamówka „48H avec FH”, czyli „48 godzin z François Hollande'em”, bodaj najśmielsza w wyborczej historii Francji, jest relacją z wizyty socjalistycznego kandydata na prezydenta w Creil i innych podparyskich imigranckich miejscowościach. Tych samych, gdzie kilka lat temu wybuchły gwałtowne zamieszki.

Na początku scena na dworcu, skąd odchodzą pociągi na przedmieścia. „Tak, jest w pociągu. Wsiadł ze mną na Dworcu Północnym” - wykrzykuje do telefonu Murzynka z fryzurą z przefarbowanych na brąz warkoczy. Na miejscu tłum szaleje. Muzyka i entuzjazm aż pulsują. Ciemnoskórzy, głównie młodzi ludzie, pokazują swoje karty wyborców albo czerwone plakaty so-



Zwolennicy François Hollande'a na Placu Bastylli w Paryżu, zaraz po ogłoszeniu wstępnych wyników wyborów prezydenckich.
Fot. Mehdi Chebil/Polaris/East News

cialistów. - Nigdy w życiu nie głosowałem, ale teraz to zrobię, by poprzeć François Hollande'a - zapowiada młodzieniec. - François Hollande prezydentem, inszallah [jeśli Allah zechce] - wtóruje mu kobieta. Wreszcie głos zabiera sam kandydat. - [Imigranckie] miasteczka na przedmieściach są szansą dla Republiki. Docieńcie swą siłę w wyborach. Może niektórzy są od was bogatsi, ale wy jesteście liczniejsi - przekonuje. Takich słów ciemnoskórzy mieszkańcy Francji nie słyszeli od jej przywódców od dawna, może wręcz nigdy. Podczas kampanii prezydenckiej Hollande'a poczuli się pełnoprawną częścią francuskiego społeczeństwa. Trudno więc się dziwić, że masowo poparli w wyborach lewicę.

Muzułmanie na lewo

Francja szczyci się swą laickością, którą rozumie jako całkowitą nieobecność religii w sferze publicznej. Rzadko pyta się tu o wyznanie, a jeszcze rzadziej

analizuje się, jak może ono wpływać na wybory polityczne. Socjolodzy wskazują jednak, że wyznanie lub jego brak pozwala prognozować, jak kto zagłosuje. - Jeśli podzielić ludzi na praktykujących katolików, niepraktykujących, bez wyznania i muzułmanów, to widać wyraźnie, że praktykujący głosują bardzo na prawo, nie deklarujący żadnego wyznania na lewo, a muzułmanie jeszcze bardziej na lewo - tłumaczy prof. Claude Dargent, dyrektor Paryskiego Centrum Badań Socjologicznych i Politycznych (CRESPA) i badacz instytutu nauk politycznych Sciences Po.

Pięć lat temu na socjalistkę Segolene Royal zagłosowało w drugiej turze wyborów prezydenckich 95 proc. muzułmanów. Teraz, choć danych naukowych na ten temat jeszcze nie opublikowano, poparcie dla Hollande'a wśród tej grupy wyznaniowej i ogólnie wśród ciemnoskórych mieszkańców Francji było zapewne jeszcze większe. Jego rywal, ubiegający się o reelekcję Nicolas Sarkozy, zrobił bowiem wszystko, by ich do siebie zniechęcić.

DNA i obywatele drugiej klasy

Zaczęło się już w kampanii wyborczej przed pięciu laty. Sarkozy ostro zabiegał o głosy wyborców antyimigranckiego Frontu Narodowego. Francję dzielił wtedy na tę, która „wstaje rano”, i tę, która „kradnie buty sportowe” w sklepach. Słowa niby niewinne, jednak słuchający dobrze wiedzieli, o kogo chodzi. Potem było już tylko gorzej.

Jako prezydent Sarkozy próbował wprowadzić badania DNA dla imigrantów (by wyeliminować szmuglowanie cudzych dzieci, lecz przy okazji byłaby to olbrzymia ingerencja w prywatność zwykłych rodzin; gdyby taka ustawa obowiązywała cztery dziesięciolecia wcześniej, do Francji nie wjechałaby m.in. żona Sarkozy'ego Carla Bruni, która nie była biologiczną córką swego ojca). Przeworsował ustawę przewidującą odbieranie osobom obcego pochodzenia obywatelstwa, jeśli popełnią poważne przestępstwo, np. zaatakują policjanta. Prawo sformułowano tak, że obejmuje również osoby urodzone we Francji z cudzoziemskich rodziców. Często dostają one obywatelstwo w wieku 18 lat. Przez pierwsze 10 lat, czyli do 28. roku życia, mogą je utracić. Lewica biła na alarm, że w ten sposób dzieli się obywatele na tych lepszej i gorszej kategorii.

Sarkozy zainicjował też wielką debatę o tożsamości narodowej, której jedynym efektem było roztrząsanie przez niektórych, kto jest, a kto nie jest Francuzem.

Romowie zamiast kryzysu

Bodaj największe oburzenie we Francji i w całej Europie wzbudziła jednak antyromska polityka Sarkozy'ego. Prawicowy prezydent wykorzystał incydent z udziałem Romów, by uczynić z nich kozła ofiarnego i odciągać uwagę wyborców od bolesnych kłopotów gospodarczych Francji. Zarządził likwidowanie romskich obozowisk i odsyłanie do kraju Romów z Rumunii i Bułgarii. Sprawa wzbudziła oburzenie w całej UE, bo ludzie ci jako obywatele Unii mają prawo przebywać na całym jej terytorium. Przepisy przewidują co prawda, że przenoszący się muszą po kwartale mieć pracę w nowym miejscu lub tytuł do ubezpieczenia, np. emeryturę. W przypadku Romów, podobnie jak wielu innych osób przemieszczających się w granicach UE, władze nie miały jednak dowodów na to, kiedy przekroczyli oni francuską granicę. Co gorsza - wbrew temu, co utrzymywano oficjalnie - kan-

dydatów do odesłania do Rumunii i Bułgarii wybierano nie po przeanalizowaniu indywidualnych okoliczności, lecz po prostu ze względu na przynależność do grupy etnicznej.

Skuteczność tych posunięć była co najmniej wątpliwa. Władze podawały statystyki, ile obozowisk zlikwidowano i ile osób odesłano. Wielu wydalo-

nych Romów szybko wróciło jednak nad Sekwanę. Jeszcze bardziej od samej polityki oburzająca była towarzysząca jej retoryka, całkowicie sprzeczna z francuską tradycją równości wszystkich wobec państwa i traktowania każdego jako pojedynczego człowieka, a nie członka społeczności. Romowie zostali napiętnowani zbiorowo, a francuskie władze słabo kryły się z tym, że kierują swą politykę przeciwko całej grupie etnicznej. W lecie 2010 roku w Paryżu odbył się kilkudziesięcioletni marsz przeciw polityce Sarkozy'ego. Romowie nieśli trumnę prezydenta z napisem „Sarkozy 1955-2010” i jego zdjęcie, na którym podpisany był jako „syn Pétaina”, czyli przywódcy reżimu, który podczas drugiej wojny światowej kolaborował z nazistami.

Symboliczne prawo głosu

Po kilku latach takiej retoryki słowa Hollande'a musiały wydać się orzeźwiający powiewem. Sposób mówienia o imigrantach jest nawet ważniejszy niż konkretne zmiany, jakie może wprowadzić lewica.

Najgłośniejszym punktem programu Hollande'a na rzecz imigrantów jest zapowiedź, że ci spoza UE dostaną prawo do głosowania w wyborach lokalnych (imigranci z innych krajów UE już je mają). Ma to dotyczyć osób legalnie mieszkających we Francji od pięciu lat. Projekt wymaga jednak zmiany konstytucji, czyli głosów trzech piątych wszystkich posłów i senatorów razem. Aż takiej większości socjaliści nie mają, choć może się to udać z poparciem mniejszych partii. Prawicowa UMP jest zdecydowanie przeciw. Hollande napomynał, że w razie konieczności rozpisze w tej sprawie referendum.

Doświadczenia z sąsiedniej Belgii i Luksemburga wskazują, że imigranci mogą w większości nie skorzystać z prawa do głosowania, nawet jeśli je dostaną. Doceniają jednak symbolikę tej zmiany. Wśród tłumów świętujących 6 maja wyborcze zwycięstwo Hollande'a na paryskim placu Bastylli dużo było osób ciemnoskórych, w tym także Romów. „Prawo wyborcze to nasza broń masowego rażenia” - powtarzali z dumą.

Symbolicznie ważny jest też skład nowego socjalistycznego rządu (kilkoro ciemnoskórych ministrów różnego pochodzenia, nawet koreańskiego) i Zgromadzenia Narodowego wybranego 17 czerwca. Dotychczas Francję, nie licząc terytoriów zamorskich, reprezentowała w parlamencie tylko jedna ciemnoskóra posłanka. Teraz posłów mających korzenie w czarnej Afryce lub świecie arabskim będzie sześcioro, a razem z terytoriami zamorskimi - dziesięcioro. Rada Organizacji Osób Czarnoskórych (CRAN) zwraca uwagę, że w kraju, gdzie co dziesiąty obywatel jest ciemnoskóry, to nadal tylko 1,8 proc. posłów: „Typowym posłem pozostaje biały mężczyzna po pięćdziesiątce”. CRAN domaga się parytetów etnicznych podobnych do tych, jakie w 2000 roku przyjęto dla kobiet.

Na poziomie symbolicznym wraz z wyborem socjalistów we Francji zmieniło się jednak bardzo wiele.

Dominika Pszczółkowska

Autorka jest dziennikarką „Gazety Wyborczej”

Link do reklamówki wyborczej Hollande'a:
<http://ibuzzyou.fr/campagne-hip-hop-pour-francois-hollande-par-le-2h12crew.html>



☼ Gotycki zamek Krasna Horka przetrwał setki lat i dwie wojny światowe, aż Romowie zaproszyli ogień

Maja Wesołowska

Krasna Horka to jeden z najważniejszych pomników słowackiej kultury. Przebudowany w stylu renesansowym, od roku 1906 był tłumnie odwiedzany przez turystów. W sobotę 10 marca 2012 roku Ivan (11 lat) i Ondrej (12 lat) zaproszyli ogień. Nie zamierzali puścić z dymem murowanej budowli, po prostu popalali w tajemnicy papierosy. A jednak od rzuconych niedopałków sucha trawa pod zamkiem zajęła się błyskawicznie, a wiatr dokończył dzieła, niosąc płomienie na drewniany dach i pobliskie gospodarstwa (o czym prasa wspomniała zdawkowo). Ogień był tak silny, że stopiły się trzy ogromne dzwony, doszczętnie spłonął drewniany dach, zniszczeniu uległ trakt zamkowy oraz wiele zabytkowych mebli.

Na miejsce przybył Peter Bollo, starosta pobliskiego Krásnohorského Podhradia, który w tym dniu miał być w Bratysławie. Wspomina: „Serce mi waliło, nic nie widziałem przez łzy, niczego podobnego nie widziałem z całym swoim życiu”.

Kiedy podsumowano straty, okazało się, że nie jest tak źle. Niemal 90 procent eksponatów udało się uratować, przewieziono je do bezpiecznego magazynu. Zamek był ubezpieczony na prawie 11,5 miliona euro. Muzeum ogłosiło zbiórkę pieniędzy na renowację, a pomoc w odbudowie zaproponowali m.in. Czesi i Węgrzy.

Lecz na Słowacji zawrzało, bo Ivan i Ondrej są Romami.

Internauci lajkują nierobów

Na popularnym portalu społecznościowym pod utworzonymi naprędce profilami („Krasna Horka potrzebuje pomoc!”, „Hrad Krasna Horka”) pojawiły się natychmiast nieprzychylnie wobec Romów opinie, często wykraczające poza temat. Swoje uprzedzenia, zarzuty i zwykłą nienawiść wylewali

Rozdmuchiwanie

10 marca 2012 roku.
Płonie zamek Krasna Horka.
Fot. Maria Skokanova/AFP/East news

zarówno zwykli obywatele Słowacji, jak i zwolennicy słowackich grup nacjonalistycznych. Wśród komentarzy przeważały negatywne, często wręcz wulgarne, jak te o „czarnych świniach”, „złodziejach”, „nierobach, którzy niszczą kraj”. Romów porównywano do szczurów z kanalizacji, bo „tak samo jedzą odpadki i rozmnażają się w szybkim tempie”. Pojawiło się sporo ocen, że Romowie „niszczą wszystko, co stanie na ich drodze”. Takie komentarze miały najwięcej kliknięć „lubię to””.ččč

Trudno wyłuskać posty świadczące o zdrowym podejściu do problemu, choć się zdarzają. Ktoś wskazuje, że wyrzucenie niedopałków to po prostu ludzki błąd, który niepotrzebnie konfliktuje dwie społeczności. Ktoś inny przekonuje, iż rozdmuchiwanie etnicznych różnic na pewno do niczego dobrego nie prowadzi. Pojawiają się również głosy o niedostatecznym zabezpieczeniu zamku na wypadek pożaru. Jednak internetowe dyskusje wokół Krasnej Horki dowodzą przede wszystkim, jak łatwo zażarta wymiana zdań przekracza granice zdrowego rozsądku.

Biała ojczyzna Kotleby

Niedaleko zamku znajduje się romska osada. Romowie na początku utrzymywali, że Ivan i Ondrej nie pochodzą stąd. Wypierali się ich z obawy o swoje rodziny. Od feralnej soboty stali się czujni, nie posyłali dzieci do pobliskiej szkoły w Spišském Podhradí, gdzie 80 procent uczniów to młodzi Romowie.

Ladislav Mikula, dyrektor szkoły, dostrzega wszechobecny strach. I presję wywieraną na mniejszość romską przez Słowaków podburzanych przez Marianę Kotlebę. O Kotlebie stało się głośno, kiedy stanął na czele prawicowej organizacji nacjonalistycznej Słowacka Społeczność i zaczął nawoływać do utworzenia „białej, słowiańskiej, chrześcijańskiej Słowacji w duchu Andreja Hlinki” - księdza rzymskokatolickiego i narodowo-klerikalnego polityka uznawanego za ojca narodu słowackiego.

Słowacka Społeczność już nie istnieje, Kotleba stoi dziś na czele pozaparlamentarnej ultraprawicowej Partii Ludowej Nasza Słowacja. Jego zwolennicy często organizują demonstracje przeciw Romom; bywa, że wszczynają awantury, nie wahają się wkraczać do romskich osiedli.

Dyrektor Mikula, który stara się być bezstronny, uważa: „Chłopcy dopuścili się głupiego czynu, za który powinni ponieść konsekwencje. Ale oni i ich rodzice są już w złym stanie psychicznym. Musimy ich chronić i im pomagać. Życie toczy się dalej, żadnych »kotlebowców« nie potrzebujemy”.

Zainspirowany przez Izrael?

18 marca 2012 roku Marian Kotleba wraz z pięciuset zwolennikami wyruszył z centrum Krásnohorského Podhradia pod zamek. Postanowił dokonać „inspekcji” terenu, na którym znajduje się romska osada. Szef nacjonalistów zapragnął kupić tę działkę. Ale się do niej nie przedostał. Antyromski pochód powstrzymała policja, skończyło się na utarczkach słownych.

Wkrótce działka trafiła w ręce skrajnie prawicowego lidera. W kwietniu ogłosił dziennikarzom, że odkupił ziemię za symboliczną złotówkę od prywatnego właściciela. Działka „jest oznaczona jako trawiaste zarośla i po złożeniu potwierdzenia do katastru nieruchomości poczynimy wszelkie możliwe kroki, aby stan rzeczywisty zgadzał się z prawnym” - dodał rzecznik „kotlebowców” Miroslav Bielička. Wyjaśnił też, że Kotlebę zainspirowało

państwo Izrael „i jego buldożery niszczące nielegalne osiedla”.

Kotleba zapowiedział, iż nie będzie wysyłał żadnych ostrzeżeń romskim rodzinom, które mieszkają na jego ziemi. Zgodnie z prawem nabywca nie musi informować mieszkańców, co i kiedy chce zrobić z należącym do niego terenem.

Starosta Krásnohorského Podhradia oczekuje eskalacji konfliktu. Na osiedlu o powierzchni niespełna kilometra kwadratowego przebywa nielegalnie kilkuset Romów. Jeszcze przed pożarem starali się o odkupienie gruntu po 20 euro za metr kwadratowy w ramach pożyczki z banku. Cenę wyznaczył właściciel.

Chłopcy z osady przyznali się do zarzucanego im czynu. Ale trudno oczekiwać, by - jak zakładała jedna z wersji podawanych przez słowackie dzienniki - musieli do końca życia płacić odszkodowanie za zniszczony zamek. W przeszłości często wypalano trawy wokół Krasnej Horki. Tym razem doszło do pożaru. W jego gaszeniu wzięło udział kilkadziesiąt jednostek straży pożarnej, kilka śmigłowców i jednostka wojsk chemicznych. Ogień okazał się iskrą, która po raz kolejny zapaliła lont tykającej od jakiegoś czasu bomby konfliktów etnicznych. Pozostaje kwestia, jak długi jest ten lont i czy musi się w ogóle palić.

Maja Wesołowska

Romowie w pytaniach i odpowiedziach

☼ Europejscy Zieloni w inspirującej publikacji zachęcają swoich sympatyków do dialogu

Bartłomiej Kozek

Jakość życia społeczności romskiej staje się kwestią europejską. Postanowiła się z nią zmierzyć Zielona Fundacja Europejska (GEF) - think-tank związany z Europejską Partią Zielonych oraz grupą Zieloni/Wolny Sojusz Europejski w Parlamencie Europejskim. Żeby zainspirować zielone działaczki i działaczy do dialogu z lokalnymi społecznościami romskimi, powstała publikacja „Roma and Traveller inclusion in Europe. Green questions and answers” wydana przez GEF wraz z fińskim Zielonym Centrum Kulturalnym i Edukacyjnym ViSiO. Opracowanie zawiera zestaw podstawowych informacji o Romach z kilkunastu krajów „starej” i „nowej” Unii. Sporą część zajmują przykłady dobrych praktyk, jak wspólnymi siłami wyrwać się z zakłętego kręgu biedy.

Węgry. Upada mit o romskim lenistwie

Kristof Szombati, jeden ze współzałożycieli węgierskiej partii Polityka Może Być Inna, opisuje węgierską wioskę Igrici, w której pomógł założyć spółdzielnię rolniczą. Romowie wykupili 52 hektary ziemi pod uprawę warzyw sprzedawanych z zyskiem na rynku. Dochód rodzin zaangażowanych w projekt już w pierwszym roku funkcjonowania spółdzielni zwiększył się o 50-90 procent. W kolejnym roku wyniki finansowe były jeszcze lepsze. Spółdzielnia sprawiła, że lokalna społeczność Romów przełamała tradycyjną nie-

chęć do uprawy ziemi, zaś okoliczni Węgrzy zobaczyli na własne oczy, jak upada mit o romskim lenistwie. Projekt przyczynił się do zmniejszenia antyromskich nastrojów w regionie.

Francja. Bliżej do szkoły i lekarza

W stutysięcznym podparyskim Montreuil lokalne władze przygotowały projekt MOUS Roms, o czym pisze wiceburmistrz tego miasta Claude Reznik. Sprawdzają one stopień integracji społecznej na podstawie czterech wskaźników: odsetka dzieci uczęszczających do szkoły, dostępności do usług zdrowotnych, pracy oraz mieszkania. By zapobiec powszechnej w Europie praktyce umieszczania Romów w getcie na rubieżach aglomeracji ze słabym dostępem do transportu i usług publicznych, władze Montreuil zbudowały cztery budynki mieszkalne w różnych częściach miasta. Przedsięwzięcie sfinansowano ze środków samorządów: lokalnego i regionalnego oraz Unii Europejskiej. Niestety, polityka państwa nie pozostaje bez wpływu na możliwości samorządów. Francuski rząd wydał odgórny zakaz zatrudniania Romów z Rumunii i Bułgarii, jeśli przebywają na terenie kraju ponad trzy miesiące. Możliwości zarobkowe takich grup ograniczają się więc do sprzedaży zrecyklowanych odpadów i żebractwa. Utrudniając rumuńskim i bułgarskim Romom podjęcie

pracy, francuskie władze traktują ich jak europejskich obywateli drugiej kategorii. Jednocześnie torpedują działania służące włączeniu ich w obręb lokalnych społeczności. Decyzje administracji ówczesnego prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego, były krytykowane przez Zielonych zarówno we Francji, jak i na forum Parlamentu Europejskiego, bo ograniczały unijne prawo do swobodnego przemieszczania się.

Czechy. Żłobek zależy od ministra

Wykluczenie (bądź nie) społeczności romskiej wynika często z woli politycznej. Píše o tym ekspertka Zielonych do spraw polityki społecznej Klara Laurencikova na przykładzie edukacji w Czechach. Aż 27 procent romskich dzieci trafia tam do szkół specjalnych, co trwale zmniejsza ich szanse na dalszą edukację i zdobycie satysfakcjonującej pracy. Za kadencji Ondreja Liški, dzisiejszego przewodniczącego czeskich Zielonych, kierowane przez niego ministerstwo edukacji zajęło się poprawą dostępu romskich dzieci do wysokiej jakości kształcenia. W 2010 roku specjalna grupa robocza złożona z teoretyków i praktyków z organizacji pozarządowych przyjęła plan działań. Cel: roztoczenie nad nimi opieki w żłobkach i przedszkolach, przenoszenie do zwykłych szkół, przygotowanie kadry nauczycielskiej do pracy z grupami wymagającymi szczególnej uwagi. Niestety, wraz ze zmianą koalicji rządowej projekty te zostały w dużej mierze zarzucone.

Austria. Niewielki wpływ, cesarski prestiż

W Austrii uznano Romów za mniejszość etniczną dopiero w latach 90. XX wieku. Ale nawet po uznaniu odrębności etnicznej Romów i Sinti władze nie zdecydowały się na rozciągnięcie przysługujących im praw na środowiska imigranckie, choćby na przybyłych w latach 60. gasterbeiterów z ówczesnej Jugosławii, wśród których nie brakowało osób należących do społeczności romskiej. W latach 90. powstała również grupa doradcza do spraw Romów, ale jej wpływ na politykę władz publicznych pozostaje niewielki. Dziennikarz Gerhard Baumgartner, porównuje ją do XIX-wiecznej instytucji doradcy cesarskiego, bardziej prestiżowej niż dającej szansę na realne oddziaływanie na bieg wydarzeń.

Europa. Romowie wyodrębniani

Zdaniem belgijskiego badacza Petera Vermeerscha, europeizacja polityki wobec Romów może sprawić, że odpowiedzialność za jakość życia społeczności romskich decydenci w poszczególnych krajach zaczną spychać na instytucje europejskie. Może się to przyczynić do wyodrębnienia Romów z etnicznej większości w danym kraju. Wiele projektów skupia się wyłącznie na tej społeczności, podczas gdy powinny koncentrować się na całych społecznościach lokalnych i w działaniach uwzględniać również perspektywę większości. Bez takiego podejścia napięcia będą rosły, nie zaś malały.

Publikacja dowodzi, że przy dobrej woli lokalnych władz da się znacząco zmniejszać napięcie między romską mniejszością a pozostałymi mieszkańcami. Kati Pietarinen, redaktorka opracowania, zaznacza jednak, że dobre praktyki powinny być poddane szczególnej refleksji, jeśli chce się je przenieść do innego kraju. Projekt, który okazał się sukcesem w jednej społeczności, może ponieść fiasko w innej z powodu różnic kulturowych, społecznych i ekonomicznych.

„Roma and Traveller inclusion in Europe. Green questions and answers” daje jednak sporo nadziei. Okazuje się bowiem, że - wbrew temu, co mówią ksenofobiczni politycy - nic nie stoi na przeszkodzie, by ułatwiać Romom posyłanie dzieci do szkoły czy znalezienie pracy. Odrobina dobrej woli wystarczy, by osobom wiodącym nieosiadły tryb życia wyznaczyć stałe miejsca do obozowania. Upowszechnienie instytucji romskich rodziców, którzy ułatwiają swoim pobratymcom kontakty z urzędami i zachęcają ich np. do badań lekarskich czy posyłania dzieci do szkół, już dziś przynosi dobre rezultaty w tak różnych krajach, jak Francja, Belgia, Finlandia, Rumunia czy Bułgaria, nie wymagając przecież wielkiego wysiłku. Jedynie wyobrażenia ogranicza działania, które zmieniają świat na lepsze. Warto sięgnąć po lekturę, która tę wyobraźnię poszerza.

Publikacja Zielonej Fundacji Europejskiej „Roma and Traveller inclusion in Europe. Green questions and answers” jest dostępna do bezpłatnego pobrania w angielskiej wersji językowej pod adresem www.gef-europe.org. Autor jest publicystą magazynu „Zielone Wiadomości” - W think-tanku Zielony Instytut współtworzy publikację poświęconą Zielonemu Nowemu Ładowi w polityce społecznej. Jego artykuły pojawiają się w tygodniku „Przekrój”.

☼ Żydówki to przede wszystkim ładne buzie, zgrabne talie i kwieciste sukienki. Portrety kolejnych dziewczyn są trofeami za odwagę

Karolina Sulej

Willy Georg był radiotelegrafistą Wehrmachtu i fotografem z zawodu. Nosił przy sobie aparat Leica i fotografował miejsca, w których przyszło mu stacjonować; portretował również kolegów. Latem 1941 roku w Warszawie dowódca poprosił Georga, żeby poszedł do getta i zrobił trochę zdjęć. Wydał mu przepustkę, prowiant i fotograf przekroczył bramy. Przez cały dzień zużył cztery rolki filmu. Przy zakładaniu piątej złapał go niemiecki patrol. Aparat skonfiskowano, ale cztery rolki filmu, ukryte w kieszeni, przetrwały. Chociaż nie jesteśmy pewni, czy wszystkie zdjęcia w „albumie” Willy’ego pochodzą z tego dnia. Być może na rejestrację materiału zdjęciowego potrzeba było kilku wypraw.

Z wizytą w zoo

Robienie zdjęć na własną rękę było w getcie zabronione. III Rzesza miała być jedynym depozytariuszem obrazów. Wszelkie działania, które mogłyby zmienić tę sytuację, tępił. Zakaz okazał się jednak niewystarczający. Ciekawość i chęć posiadania „pamiątki z podróży” były zbyt silne, żeby wyegzekwować od żołnierzy posłuszeństwo. Marzenie o powrocie do domu z „pocztówką” wygrywało z lękiem przed karą.

Przechadzki po getcie przypominały wycieczkę po Księżycu. Janina Struk w książce „Holokaust w fotografiach” pisze: „Zatłoczone ulice i nędza były dla żołnierzy niekończącym się źródłem fascynacji i zadziwienia. Wejście do getta oznaczało dla nich przekroczenie progu obcego i egzotycznego otoczenia, innego świata. Dla nich getto nie było wytworem reżimu nazistowskiego, lecz naturalnym środowiskiem Żydów. Wycieczki do gett stały się tak popularne, że getto warszawskie stało się czymś w rodzaju »atrakcji turystycznej« z malowniczymi widokami do sfotografowania”.

Atrakcji turystycznej czy też raczej wycieczki w nieznane - do egzotycznego



26 czerwca 1941,
warszawskie getto.
Fot. Willy Georg/The Ghetto Fighters'
House Museum/Israel

Georg i jego „kociaki”

Willy Georg, niemiecki fotograf, urodził się w 1911 roku. Pochodził z Münster w Nadrenii Północnej-Westfalii. Podczas wojny był radiotelegrafistą Wehrmachtu. Latem 1941 roku, gdy jego oddział stacjonował w Warszawie, Georg zaczął sobie dorabiać do żołdu zdjęciami kolegów z armii. Dowódca dowiedział się o jego umiejętnościach i skierował go do getta. Willy wszedł tam 26 czerwca 1941 roku, żeby dokumentować „ciekawe zdarzenia”. Zatrzymała go niemiecka policja, skonfiskowała aparat wraz z filmem. Ale zużyte wcześniej cztery rolki ukryte w kieszeni munduru przetrwały. Chłopak wysłał je do Münster do matki.

W 1989 roku Willy Georg chciał ofiarować fotografie lokalnej społeczności żydowskiej, która jednak nie ich przyjęła.

Dopiero w 1991 roku Rafael Scharf z Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka zaprezentował zdjęcia Willy’ego Georga na indywidualnej specjalnej wystawie w Londynie.



Karolina Sulej

Doktorantka w Zakładzie Filmu i Kultury Wizualnej Instytutu Kultury Polskiej UW, dziennikarka i stylistka, freelancerka związana m.in. z Wysokimi Obcasami, dodatkiem Gazety Wyborczej. Jej pracę magisterską o funkcjach mody w warszawskim getcie wyróżniono w 2010 roku w konkursie Instytutu Badań Literackich PAN na najlepszą pracę o tematyce gender.

miejsca, gdzie żyją jacyś ludzie, ale przecież nie są to ludzie podobni do nas. Fotografujący staje się imperialistą, który podróżuje po dopiero co zajętych koloniach i przygląda się „dzikim”. Dla wielu niemieckich żołnierzy nie było żadnej sprzeczności między „prawdziwymi” Żydami z getta a wytworami wyobraźni propagandystów - „judeo-bolszewickimi azjatyckimi hordami”. Widzieli „typy”, nie ludzi, ponieważ jedynym źródłem wiedzy, jaką o nich posiadali, była niemiecka prasa. Gazety wybierały i stylizowały Żydów tak, by pasowali do wytycznych partii.

Od sierpnia 1939 roku w czasopiśmie partyjnym „Illustrierter Beobachter” ukazywały się reportaże o Żydach w Polsce. Przedstawiano ich jako brudnych, skołtunionych, zawoszonych, ciemnowłosych próżniaków; byli orientalnym ciałem obcym. Fotografowie celowo pokazywali na zdjęciach takie cechy żydowskie, które odpowiadały nauce rasowej narodowego socjalizmu.

Zachowały się jednak na szczęście także zdjęcia, które są wyrazem bezradności i stanowią przykład załamania się absolutnej władzy nazisty nad obrazem Żyda. Na tych zdjęciach fotograf patrzący w twarz Innego znajduje się w sytuacji zbłąkanego wędrowca, który podróżuje po nieznanym terenie. Boi się, ale mimo wszystko idzie dalej, bo ciekaw jest potworów, które stworzyła z Żydów nazistowska propaganda.

Niemieccy żołnierze odczuwali irracjonalny, wręcz obłądny strach przed polskimi Żydami. Fotografia mogła być sposobem na uśmierzenie tego strachu. Ogólna obserwacja Susan Sontag, że turysta, który czuje się niepewnie w obcym otoczeniu, robi zdjęcie, żeby odzyskać pewność siebie, jest tutaj znacząca. Zrobienie zdjęcia może stać się obroną przed niepokojem. Patrzący w twarz Innego postanawia nań spojrzeć przez wizjer aparatu. Uspokaja się robieniem zdjęć, na których zostają ślady jego walki z monstrem. Z upodobaniem klasyfikuje, szuka typów, nazywa. Aby nauczyć nazistów odpowiednio patrzeć - tak, aby nie zobaczyli w Żydzie człowieka - nie oszczędzano na propagandzie. Zgodnie z tradycją lat trzydziestych, kiedy zaczęto wykorzystywać fotografię do celów politycznych, zrobienie zdjęcia jest egzekucją władzy.

Fototożsamość

John Tagg w książce *Burden of Representation* śledzi historię fotografii dokumentalnej jako historię ewolucji nowoczesnej władzy, która wyznacza reżimy prawdy, sens reprezentacji i która, przede wszystkim, ma moc stwarzania tego, co rzeczywiste. Rzeczywiste - to znaczy mieszczące się w przyjętym przez władzę dyskursie. Fotografia czy, szerzej, materiał dokumentalny staje się dla Tagga terenem przecięcia układów społecznych sił. Staje się narzędziem nowoczesnej gry z ciałem, gestem, zachowaniem, jednym z mediów „tak zwanej nauki o człowieku”. Fotografia staje się sposobem, w jaki można klasyfikować obywateli i przydzielać do odpowiednich grup. Szczególnie często fotografuje się osoby potencjalnie niebezpieczne dla porządku społecznego, pozostające na jego peryferiach, niepasujące do obowiązującej normy - a więc dzieci, chorych umysłowo, przestępców. Sfotografowany człowiek zmienia się z indywidualnego podmiotu w „przypadek” posiadający zespół określonych cech.

W podobny sposób postępowali Francuzi i Anglicy w Afryce, kiedy pod koniec XIX wieku fotografia stała się jednym z narzędzi służących do udo-

26 czerwca 1941,
warszawskie getto.
Fot. Willy Georg/The Ghetto Fighters'
House Museum/Israel

wadniania teorii Darwina. Mieszkańców Afryki fotografowano również jako przedstawicieli ginącego plemienia - zdjęcia pozwalały zachować ich obraz dla potomnych. Wiadomo przecież było, że „dzicy” skazani są na wymarcie, jako rasa niższa i niecywilizowana. A jeśli nie na wymarcie, to na eksterminację, która przecież w politycznej reinterpretacji darwinizmu mieściła się doskonale w obrębie prawa naturalnego. Fotografujący niemiecki żołnierz jest więc w getcie postacią ambiwalentną - z jednej strony to „zwiedzający”, który robi pamiątkowe zdjęcia. Z drugiej - jego chwilowa nieszkodliwość nie zmienia faktu, że znalazł się w tym miejscu z aparatem dlatego, że pozostaje w pozycji oprawcy.

Uśmiech Murzynki

Zdjęcia Willy'ego Georga stanowią część zbiorów fotograficznych w ogólnodostępnym internetowym archiwum Ghetto Fighters House muzeum kibucu Lohamei Haghetat, który założyli w Izraelu ocaleni z gett drugiej wojny światowej. Można tam obejrzeć wszystkie jego „pocztówki”.

Georg interesował się tym, co zwykle interesuje heteroseksualnego mężczyznę, kiedy wyjeżdża w podróż do egzotycznego kraju - jak wyglądają tamtejsze kobiety, jaki jest ich typ urody. W „egzotycznym kraju” getta obiektem jego zainteresowania stały się Żydówki. Jako „turysta” naciska spust migawki wtedy, kiedy widzi coś „pięknego”, co chce zachować we wspomnieniach. Jego portrety wyglądają jak zdjęcia wykonane na zlecenie magazynu dla pań - profesjonalnie oświetlone, ostre, dobrze skomponowane. To jedyny w swoim rodzaju przegląd mody damskiej w getcie latem 1941 roku. Na tych zdjęciach nie widać ulic, biedy, grozy obecnych na innych fotografiach Willy'ego. Trudno w nich rozpoznać obrazy, które pamięć nauczyła się rozpoznawać jako obrazy getta - trupy na ulicach, wychudzone dzieci, Umschlagplatz. To obrazy codzienności, wręcz intymności, bo Georg podchodzi naprawdę blisko, zagląda głęboko w oczy. Kobiety patrzące w obiektyw stoją może metr, półtora od niego. Dwie zostały „złapane” na targu, jednej zrobił zdjęcie w towarzystwie dzieci, kolejna zatrzymuje się z zakupami w ręku na pustej ulicy, jeszcze inną aparat „wyjmuje” z tłumu. Wszystkie się uśmiechają. Willy Georg pewnie uznał to za komplement. Poświęcając tak dużą część swojej fotograficznej eskapady po getcie na robienie zdjęć atrakcyjnym kobietom, Georg zdaje się porzucać rolę „żołnierza”, by stać się „zwykłym chłopakiem, któremu podoba się dziewczyna. Nieoficjalna „wycieczka” zwalnia go na kilka godzin z obowiązku zachowywania się stosownie do „munduru”. Sfotografowane Żydówki to przede wszystkim ładne buzie, zgrabne talie i kwieciste sukienki. Mają stanowić dowód, że jego wycieczka po getcie naprawdę miała miejsce. Portrety kolejnych dziewczyn są trofeami za odwagę, które Georg zdobywa, pokonując ulice.

Zajęcie nowego terytorium dokonuje się, kiedy obejmuje się w posiadanie lokalne kobiety - nawet jeśli jest to tylko gwałt symboliczny. Portrety Żydówek przypominają też zdjęcia „dzikich kobiet”, jakie przywozili z zamorskich podróży XIX-wieczni imperialiści. Egzotyczna uroda Murzynek była jednocześnie fascynująca i odrzucająca dla oczu zachodniego burżuja. Podobnie „murzyńska” musiała być dla Georga uroda Żydówek.

Chociaż wyłowione z ulicznego tłumu kobiety patrzą w aparat z szerokim uśmiechem, to najprawdopodobniej nie dlatego, że zobaczyły przystojnego



26 czerwca 1941,
warszawskie getto.
Fot. Willy Georg/The Ghetto Fighters'
House Museum/Israel

mężczyznę. Georg mógł wyjść z roli oprawcy z aparatem i wcielić się w chłopaka z aparatem, natomiast fotografowane, pozostając nadal w sytuacji „oficjalnej” - w roli ofiary - nie mogły stać się „zwykłymi dziewczynami”, zadowolonymi, że docenił ich urodę. Robiąc zdjęcia, Georg stwierdza jednocześnie: „Wiem, że jesteś moim wrogiem i Żydówką, ale może jeśli spojrzę na ciebie jak mężczyzna na kobietę, prawda o naszej sytuacji się nie wyda”. Mówi też: „Jestem cywilizowanym podróżnikiem w niecywilizowanej krainie i wszyscy jej mieszkańcy, wszystkie jej kobiety należą do mnie”. Nie mogąc posiąść obiektów swoich westchnień w teraźniejszości, zatrzymuje Żydówki „dla siebie” w formie zdjęcia z przeszłości. Obraz-fetysz jest także „obrazem-ekranem”, zasłoną, „punktem wyparcia”, zachęca do sentymentalności, zaciera kwestie moralne.

Sfetyszowany obraz kobiecości zasłania żydowskość. To co najwyżej *fashion victims* - ofiary mody, przekonuje zdjęcie - dobrze ubrane kobiety, a nie prawdziwe ofiary. Spojrzenie Georga zostaje jednak odbite w jego stronę. We wzroku portretowanych kobiet widać z trudem powściągane przerażenie. Kobieta-fetysz z powrotem staje się cierpiącym podmiotem, Żydówką w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Byłoby tak pięknie

O niemożności wyjścia z roli ofiary, choć zaistniało się w oczach wroga jako atrakcyjna dziewczyna, pisze Dora Sztatman. Relacjonuje swoje spotkanie, a właściwie randkę z dwoma Niemcami, która zdarzyła się, gdy pewnego słonecznego dnia planowała wymknąć się z getta na aryjską stronę.

W tym celu udała się do budynku sądów grodzkich na Lesznie. Kolega, z którym miała uciekać, niestety nie przyszedł. Nieoczekiwanie pojawili się zaś dwaj Niemcy. Obserwowali Dorę z zainteresowaniem, przesyłali jej uśmiechy i pocałunki, prosili, aby razem z nimi wyszła za mury na spacer. Dora była zmieszana ich niezwykłym zachowaniem. Przecież jest Żydówką - to podstęp czy drwina? Niemcy wręczyli jej dla zachęty paczkę z jedzeniem. W końcu zdecydowała - wyjdzie i zgodzi się, aby towarzyszyli jej niespodziewani adoratorzy. Razem spacerują nad Wisłą, jedzą i rozmawiają, wygrzewają się na słońcu. Nie ma pewności, czy ta relacja jest prawdą, czy też fikcją, ale w obydwu przypadkach obecnej w niej prawdy emocjonalnej nie da się zakwestionować. Dora nie może „wyjść” z getta, bo zawsze i tak będzie musiała „wrócić”. W obliczu Holokaustu czysto damsko-męska relacja między kobietą - Żydówką a mężczyzną - Niemcem nie jest możliwa. Zawsze łączy się z relacją kat - ofiara.

Dora pisze w pamiętniku: „Obaj żołnierze byli to ludzie inteligentni i wykształceni, a przede wszystkim wrogowie wojny i hitleryzmu. Ponieważ znam dobrze niemiecki, więc doskonale mogliśmy się porozumieć. Szczególnie kulturalnym człowiekiem był inżynier z Düsseldorfu, który był także rozmowniejszy od swego towarzysza. Oświadczył mi, że boli go serce, że ja tyle muszę cierpieć i że w ogóle współczuje Żydom, którzy tak są podczas tej wojny gnębieni. Przed sądem pożegnaliśmy się, mój towarzysz ze łzami w oczach oświadczył, że chciałby dożyć końca wojny i po wojnie przyjechać po mnie do Warszawy. Wówczas zabrałby mnie ze sobą do Düsseldorfu, gdzie byłoby razem tak pięknie! Życzałam mu z całego serca dużo zdrowia, aby wrócił z wojny cały, ale co do reszty planu, nie wyraziłam swojego zdania. Bardzo go to bolało - ale trudno...”.

26 czerwca 1941,
warszawskie getto.
Fot. Willy Georg/The Ghetto Fighters'
House Museum/Israel



Żydówki z getta pamiętają, że są przede wszystkim ofiarami, choćby spojrzenie wroga ignorowało tę perspektywę. Dora przyjmuje podarunki i komplementy, jej opowieść kończy się jednak gorzko - adoratorzy nie potrafią zrozumieć, dlaczego nie może odpowiedzieć obietnicą na ich obietnice. Dora jednak nie zapomina, że nie jest im równa. Jest w niej równie wiele sympatii dla nowo poznanych chłopców, co lęku o życie.

Sukienki i mundury

A może Żydówki na zdjęciach Georga uśmiechają się, ponieważ się boją? Ponieważ „trzeba być miłym dla Niemca”, na wszelki wypadek? Rękawy kolorowych (jak się domyślamy z czarno-białego zdjęcia) sukienek wieńczy przepisowa opaska z gwiazdą Dawida, która nie pozostawia niedopowiedzeń co do ich tożsamości. Aparat wymierzony przez żołnierza w stronę fotografowanego był równie niebezpieczny jak broń. Żydówki chcą pokazać, że nie mają nic do ukrycia i są zadowolone - z komplementu w postaci zdjęcia oraz z życia w getcie. Na trop mistyfikacji naprowadza fakt, że na każdym portrecie, jeśli obok kobiety w tle pojawia się jeszcze jakaś osoba - ona również ma nienaturalnie wesoły uśmiech. Ponadto mimika twarzy wydaje się, w zależności od konkretnego zdjęcia, mniej lub bardziej nerwowa. Strach przed oficerem jest jeszcze wzmacniany przez dyskomfort, który zwykle wynika z bycia fotografowanym. To sztuczny uśmiech dla fotografa i wroga jednocześnie. Willy Georg, portretując dziewczęta w letnich sukienkach, uwiecznił przerażone ofiary, które usiłują nie zdradzić swojego lęku. W getcie toczyło się codzienne życie, które, tak jak przed wojną, stawiało przed kobietą wyzwanie, aby być modną, atrakcyjną i zadbaną. Stawiało je z podobnym, a może nawet większym natężeniem. Opór wobec spojrzenia wroga polegał również na tym, aby nie dać się sprowadzić do pozycji „nie-człowieka”, nie dać odebrać sobie tożsamości, zachować piękno, które usiłowano zredukować do zestawu rasowych cech. Kobiety były prowodyrkami tej nieustającej estetycznej partyzantki. Chciały „wykonywać” swoją kobiecość, podobnie jak czyniły to przed okupacją. Ich styl miał na celu pokazanie: mimo wszystko jestem kobietą, mimo wszystko jestem człowiekiem żyjącym w kulturze, a nie zwierzęciem. Boję się, ale tego nie okazuję. Tak zachwycające dla Georga sukienki były w istocie wymierzoną w niego bronią - życiem w walce z jego mundurem, który oznaczał śmierć.

Karolina Sulej

Bibliografia:

Boll Bernd, *W obiektywie wroga. Niemieccy fotoreporterzy w okupowanej Warszawie 1939-1945*, red. Eugeniusz Cezary Król, Danuta Jackiewicz, Agencja RYTM, Warszawa 2010.

Enkling Barbara, Leociak Jacek, *Getto - przewodnik po nieistniejącym mieście*, IFIS PAN, Warszawa 2003.

Ringelheim Joan, *Gender and Catastrophe*, przeł. Karolina Sulej, red. Ronit Lentin, Zed Books, London 1997.

Shallcross Bożena, *Rzecz i Zagłada*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2010.

Struk Janina, *Holokaust w fotografiach: interpretacje dowodów*, przeł. Maciej Antosiewicz, Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2007.

Tagg John, *Burden of Representation. Essays on Photographies and Histories*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1993.
Zagłada Żydów. Studia i Materiały nr 5, 2009



26 czerwca 1941,
warszawskie getto.
Fot. Willy Georg/The Ghetto Fighters'
House Museum/Israel

**JEDYNE W POLSCE PISMO
POŚWIĘCONE W CAŁOŚCI
PROBLEMOM
RASIZMU,
FASZYZMU
I ANTYSEMITYZMU**

**PO 25 KWIETNIA
DOSTĘPNE W PUNKTACH EMPIK
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU**

**PO Box 6, 03-700 Warszawa 4, tel. 601 360 835
redakcja@nigdywiecej.org ♦ www.nigdywiecej.org
konto: Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ”
PKO BP I Oddział Centrum Warszawa
25 1020 1013 0000 0902 0129 5898**

DZIEKANOWSKI, OLISADEBE, KUCHARSKI, ARBOLEDA

NIGDY WIĘCEJ

WIOSNA 2012 CENA 8 ZŁ (8% VAT) ISSN 1428-0884 WWW.NIGDYWIECEJ.ORG



Współpraca Fundacja OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS

